

Rkp 2253A

Kazimierz Gurbiel

"MOJA DROGA DO MONTE CASSINO"

/Wspomnienia/



11. 1m16, 9,8 + 11k. "Nowiny"

PRZEMYSŁ

1987

Dar, 1988

W S T Ę P

Po 42 latach, dopingowany i zachęcany przez wielu przyjaciół, przełożonych, historyków itd, czując, że niedługo trzeba już odejść, uległem wreszcie tym głosom i 10 stycznia 1987 r. rozpocząłem pisanie swych wspomnień z lat wojny . Być może uda mi się również coś napisać i z lat powojennych, które są niczym innym jak dalszym ciągiem wojny, choć zdawać by się mogło, że gdy armaty nie grają to nic się nie dzieje .

Moje powojenne życie było nadzwyczaj ciężkie i naprawdę nie sprzyjało na tego rodzaju hobby . To co wtedy by powstało miałoby posmak goryczy z doznanych zawodów i kto wie czy mógłbym wówczas przekazać prawdę taką jaka była . Słowem mógłbym być dla historii niesprawiedliwym .

Teraz też nie piszę tego nie mając żadnego celu . O nie ! Cel jest ! Jest nim nasza wspaniała młodzież, która, mimo że od kolebki karmiona wrażą propagandą, potrafiła w roku 1980 powie - dzieć "NIE" i z jej głosem, po raz pierwszy, reżim z łaski Kremla panujący musiał pójść na pewne ustępstwa . Mimo że wkrótce całe to przedsięwzięcie zdławiono to zostało posiane dobre ziarno wśród młodzieży krajów nie tylko okupowanych przez wiecznego na - szego wroga jakim jest Rosja - obojętnie czerwona czy biała , ale i wśród młodzieży rosyjskiej, która trzeźwo myśląc po swoje - mu stawia się okoniem kremłowskiemu reżimowi .

Pracę tę poświęcam tej właśnie młodzieży i swojej córce Grażynie .

Czy to moje przedsięwzięcie uda mi się - oto jest pytanie . Nie jestem bowiem literatem . Dlatego sędzę, że przyjaciele moi poprawią niedociągnięcia .

Miejmy nadzieję, że rozpoczętą pracę doprowadzę do końca. Pragnąłbym zakończyć na 18 maja 1989 r., w którym to dniu chciałbym się spotkać z grupą ludzi miłujących pokój i ze swoim jeńcem Robertem Frettlöhrem w Klasztorze Monte Cassino . A być może, że uda mi się jeszcze opisać 50- lecie, które będzie w roku 1994 .

Kazimierz Gurbiel

Pisząc o bitwie pod Monte Cassino trzeba sobie zdać przede wszystkim sprawę kto tę bitwę karmił, gdyż to piekło na ziemi bez odpowiedniego pokarmu ludzkiego nie mogłoby się zdarzyć. Nie będę opisywać samej bitwy, bo tę, doskonale i bezstronnie, opisało wielu kolegów z Melchiorem Wańkowiczem na czele. Ja, z racji swego obowiązku, skoncentruję się przede wszystkim na żołnierzu, który tam składał ofiarę swego życia, jego dziejach i przejściach nim zdążył na ostatni akt tej "zabawy", i który po spełnieniu swego obowiązku w wielu wypadkach nie mógł wrócić do kraju, gdyż ten dalej jęczał w okowach niewoli. A czy dzisiaj nie jęczy?

Historia żołnierza, którą opowiem, jest fragmentem mojego własnego życiorysu, a równocześnie historią wielu tysięcy polskich żołnierzy-tułaczy. Opisuję ją dlatego, że wtedy 18. V. 1944 r., stałem się, mimo woli, symbolem tej wielkiej bitwy, oraz że dzięki Opatrzności udało mi się szczęśliwie przeżyć.

Urodziłem się w Moskwie 1918 roku, jako jedyny syn moich rodziców i może dlatego nigdy w moim życiu nie zaznałem prawdziwego szczęścia rodzinnego, bo jak mówi stare przysłowie, że "z jedynaka to albo pies albo sobaka".

Jako dwuletni chłopiec zaznałem już co to jest zielona granica, co to jest system, który pozwala ludziom być niczym więcej jak niewolnikiem, co znaczy bieda, nawet w swoim kraju, do którego matka przeszmuglowała mnie ratując siebie i mnie od niechybnej śmierci z rąk oprawców sowieckich.

Przez lata całe słuchając opowiadań matki o "szczęściu" ludzi w sowieckim "raju" doczekałem roku 1939, kiedy przy końcu czynnej służby wojskowej, najpierw w Szkole Podchorążych Rezerwy Kawalerii w Grudziądzu, a później w 10. Pułku Strzel-

ców Konnych w Łańcucie, zaskoczyła mnie wojna. 1. 09. 1939r. prosto z manewrów z Zabieżowa pod Krakowem przerzucono 10. Samodzielną Brygadę Kawalerii, jako jedyną brygadę zmortoryzowaną, w kierunku na Zakopane. Dotarliśmy tylko do Jordanowa, gdzie poprowadziłem swój pierwszy patrol bojowy. Wówczas rozpoznałem, że nim tam się znalazłem, wcześniej był Batalion Obrony Narodowej, który po całodziennym walce wycofał się. Od tej chwili zaczęły się walki odwrotowe, które kosztowały Niemców wiele strat, a nam przysporzyły nową nazwę "Czarnej Brygady".

Pamiętam bitwy pod Myślenicami, Habówką, Rabką, Makowem Podhalańskim, następnie pod Rzeszowem, a wreszcie 9.09. cały dzień biliśmy się pod Łańcutem, aby wieczorem z niedomkniętego pierścienia niemieckiego, przez Park Potockiego, ująć Niemcom z pułapki. Pamiętam, że tego wieczoru odbyłem najdłuższy pieszy marsz w kampanii wrześniowej, bo aż 18 km, do Przeworska, gdzie oczekiwał na nas sprzęt. Przemarsz przez Park Potockiego utkwiał mi szczególnie w pamięci. Dowódca szwadronu wezwał mnie do siebie i kazał prowadzić szpicę w kierunku na Przeworsk. Zaznaczył mi przy tym, że Niemcy za dnia nie zdążyli zamknąć pierścienia, a ponieważ oni boją się jakiegokolwiek działalności nocnej nie powinienem natrafić na zetknięcie się z nimi. Miał rację i poprowadziłem szpicę bez żadnego nieprzyjemnego incydentu.

Jak wyglądała technika tego nocnego marszu? Wysłałem szperaczy czołowych, następnie 10-15 metrów za nimi maszerowałem na czele szpicy, za mną jakieś 20 m dowódca szwadronu razem z dowódcą pułku i dowódcą Brygady płk Maczkiem a dopiero mój szwadron czwarty i reszta pułku. Wspomniałem o ostrożności Niemców w działaniach nocnych. Nie dziwota,

skoro pod Myślenicami albo Habówką szwadron 24. Pułku Ułanów bosko zakradł się do obozu jednego z pułków pancernych, który nam włożył stale na pięty i zrobił mu taką jatkę, że popamiętali sobie ruski miesiąc.

W styczniu 1941 roku leżąc w szpitalu lagernym spotkałem jednego z uczestników tej "zabawy", podoficera, który opowiadał mi o tym zdarzeniu, i który biadał nad tym, że nie było komu uruchomić zaparkowanych czołgów po dokonanej masakrze, i że z bólem serca trzeba było część tych czołgów spalić. Nie wszystkie oczywiście. Był to rezultat i jednostronnego szkolenia i dość spóźnionego motoryzowania wojska.

Jako młody podchorąży nie za wiele wiedziałem co, gdzie i jak się odbywa, ale cieszyłem się, że jedziemy do Przemyśla, do miasta, gdzie zostawiłem swą matkę i narzeczoną, w której zakochany byłem na zabój swą pierwszą miłością, że będę mógł wnieść swój wkład w obronę kochanego miasta, a w nim i kochanych istot.

Niestety, Niemcy już dobrze siedzieli w Przemyśle, a Brygada nasza skierowała się do Lwowa z kierunku północnego, od strony Rawy Ruskiej. Przed wieczorem, 11 albo 12 września znaleźliśmy się w Krakowcu, a mój 4-ty szwadron miał za zadanie zajęcie stanowisk obronnych przed Krakowcem. Wówczas jeden ze strzelców konnych, Ukrainiec, zwrócił się do mnie z prośbą, abym mu pozwolił zajść do swojej chaty przywitać i pożegnać rodziców, a przy sposobności przynieść chleba i mleka dla plutonu. Po namyśle powiedziałem: "Idź". Gdy odszedł, oczywiście z karabinem, jeden ze strzelców konnych zwrócił mi uwagę, że postąpiłem zbyt pochopnie, bo to jest Ukrainiec. Odpowiedziałem mu na to, że tym lepiej jak nas teraz opuści, bo nie będę musiał się obawiać strzału

w plecy z odległości dwu metrów. Po godzinnej nieobecności tego Ukraińca, gdy już byłem przekonany, że już więcej go nie zobaczę, zauważyłem, że dźwiga, wraz ze swoim młodszym bratem, dwa wiadra mleka i kilka wielkich bochenków razowego chleba .

Następny dzień był moim ostatnim dniem w kampanii wrześniowej. Wczesnie rano musieliśmy się wycofać do Krakowca przed czołgami niemieckimi, by w mieście dać im łupnia. Rzeczywiście tak się też stało, ale jak zwykle nigdy nie obywa się bez strat własnych. Bardzo mi przykro, ale ofiarą byłem też i ja. Po zlikwidowaniu kilku czołgów przez działko ppanc. z plutonu plut. Bieniasza piechota niemiecka obeszyła zabudowaniami rynek, na którym usytuowane było nasze działko, i strzałami karabinowymi, z zasłony, wystrzelała załogę. Został tylko kapral działonowy i kierowca ciągnika. Wówczas działonowy poprosił mnie, abym mu pomógł złożyć ogon działka. Chcąc mu pomóc schowałem się za drewniany słup z drutami wysokiego napięcia. W chwili gdy miałem zrobić skok do działka poczułem nagle jakby silne uderzenie żelaznym prętem w lewe ramię. Działonowy nie był w stanie sam dociągnąć działko do ciągnika. Z odległości 20 m zobaczył, że oberwałem, skoczył wraz ze mną do ciągnika i łaką odjechaliśmy. Jeszcze nim skoczyłem do ciągnika znalazłem porzucony r.k.m., który oczywiście zabrałem. Przejeżdżając obok d-cy szwadronu por. Cieślińskiego zameldowałem swój odjazd do szpitala. I tak się skończyła moja kampania wrześniowa .

Brygada stoczyła jeszcze jedną bitwę w tej kampanii pod Zboiskami, w której został ciężko ranny d-ca 10. P.S.K. ppłk. Janusz Boksztanin. Na rozkaz Naczelnego Wodza Bryga-

da przekroczyła granicę węgierską . Ja, natomiast, nigdy już nie miałem okazji dołączyć do niej .

Niedługo cieszyłem się pobytem w Szpitalu Łyczakowskim we Lwowie, skąd często odwiedzałem państwa Hassów, zamieszkałych niedaleko szpitala przy ul. Głowackiego 4 . Moje zranienie okazało się lekkie . Pocisk przeszedł przez lewe ramię, jednakże przerwał mi nerw /nervus radialis/, co spowodowało obezwładnienie dłoni . Złączenie obydwu końców nerwu warunkowało ruchy dłoni . Z chwilą gdy słynny chirurg Politechniki Lwowskiej /nazwisko wyleciało mi z głowy/^x miał rozpocząć operację przywieziono do szpitala kilku policjantów, którzy walcząc na rogatce łyczakowskiej z Niemcami odnieśli ciężkie rany brzucha, tak że jelita były na wierzchu . Widząc ich stan Profesor zwrócił się do mnie mówiąc : "Pan i bez operacji odzyska pełnię władzy w ręce, a tu każda sekunda zwłoki może przynieść katastrofę . Zatem do widzenia panie podchorąży" . Po tym pożegnaniu, następnego dnia, ewakuowano mnie do szpitala w Tarnopolu, gdzie dnia 17. 09. w niedzielę, zawitały nieproszone wojska sowieckie głosząc, że idą wyzwalać ujarzmione narody ukraiński i białoruski . Jak ta pomoc wyglądała wiemy wszyscy dobrze i czujemy ją do dzisiejszego dnia . Widowym jej znakiem były niezliczone masy naszych oficerów ciągnące przez ulice Tarnopola w stanie godnym pożałowania . Pędzono to bractwo w kierunku na Powołodczyska a stamtąd do obozów jenieckich w Ostaszkowie, Starobielsku i Kozielsku . Obozy te dostarczały ofiar do lasu w Katyniu pod Smoleńskiem, gdzie w masowych grobach, oczywiście zamaskowanych, Niemcy odnaleźli te ofiary niespotykanego w dziejach ludzkości mordu .

^xPóźniej znalazł się na liście zamordowanych w Katyniu .

Po kilku dniach gospodarowania naszych nowych gospodarzy znalazłem się w spisie lekko-rannych, którzy pociągiem mieli wyjechać również do Północzysk . Nie czekając aż mnie wywiozą do "krainy szczęścia", którą znałem doskonale z opowiadań mej rodzicielki, na stacji kolejowej dałem drapakę do miasta . Ukrywałem się w domu pewnego urzędnika , którego żona całą noc szyła dla mnie granatowe szarawary i wiatrówkę oraz beret, aby przykryć mundur wojskowy . Rano następnego dnia, umundurowany w ten uniform wyjechałem do Lwowa, do którego jechałem tylko 24 godziny . Zamelinowałem się u swoich znajomych z Przemyśla pp Hassów, od których dowiedziałem się, że syn ich Władysław, podkomisarz policji lwowskiej, został aresztowany i wywieziony . ~~Władysław Hass~~ ~~został aresztowany i wywieziony~~ . Po dwudniowym odpoczynku we Lwowie postanowiłem wracać do Przemyśla, do swej matki, aby z nią zastanowić się co począć dalej , w tej sytuacji prawie że bez wyjścia . 2 października, również po 24 godzinnej podróży , przyjechałem w nocy ze Lwowa do Przemyśla . Na stacji głównej obawiałem się wysiąść , gdyż istniało prawdopodobieństwo zlikwidowania mnie . Dlatego też wysiadłem na stacji Bakończyce i pieszo udałem się do domu . W pewnym momencie usłyszałem głos sowieckiego strażnika : "Stoj ! Kto idiot !" . Wiedząc, że strażnik znajduje się poza murem i siatką /składnica przedwojennej intendentury - obecnie ulica Łukasińskiego i Leszczyńskiego/ spokojnie odpowiedziałem : "Swoj, ubespakojsia" i jak gdyby nigdy nic poszedłem sobie dalej na ulicę Smolki 13, gdzie na pierwszym piętrze mieszkała moja matka . Była godzina 2-ga po północy i musiałem zadzwonić na dozorcę domu, aby mi otworzył bramę . Otworzyła jego żona . On sam, jako

były legionista, uszedł na Węgry . Dozorczyni zobaczywszy mnie aż się przeżegnała ze zdumienia na mój widok i rzekła :
"To pan żyje ?" . - Czemu nie ? - odpowiedziałem . - Przecież, z wyjątkiem małego draśnięcia, nic mi nie jest .
"Niechże więc pan szybko idzie, bo mama opłakuje pana .
Parę dni temu ktoś jej powiedział, że widział jak pan został rozerwany przez granat artyleryjski" . Podeszedłem do drzwi naszego mieszkania i usłyszałem cichy szloch matki . Zapukałem do drzwi . "Kto to puka o tej porze ?" - zapytała matka . Musiałem się przyznać, a matka z radości i wrażenia nie mogła nawet sprawnie otworzyć drzwi . Biedne matczyśko złapało mnie w ramiona i gdyby mogło to by duszę swą oddało z radości na mój widok . Przy tych czułościach nie obyło się bez bólu mojego ramienia i wtedy matka dowiedziała się, że wojna mnie nie pieściła .

Jak zwykle, gdzie pokażą się Rosjanie tam zostawiają po sobie swój charakterystyczny ślad w postaci wszy . W związku z tym pociągi roiły się od tego plugastwa , tak że i mnie to nie ominęło . Zobaczywszy to matka ściągnęła ze mnie ubranie i bieliznę, i z miejsca zabrała się do prania i do mojej kąpieli . Boże ! Co to była za rozkosz, gdy po całym miesiącu miałem możliwość pożądnie się wymyć . Po zjedzeniu sutego śniadania spałem jak zabity aż do popołudnia . Gdy otworzyłem oczy ukazał się czarodziejski widok . Nade mną stała moja Guścia i słodko przyglądała mi się . Nastąpiło przywitanie dwu kochających się istot . Pytaniom i odpowiedziom nie było końca i nie wiem jak długo by to trwało, gdyby nie wejście mojej matki . Tego dnia nigdzie się nie pokazywałem, ale koledzy zdążyli się już dowiedzieć, że żyję, i że wiadomość o mojej śmierci była wynikiem albo złośliwości ludzkiej albo zbyt wybujałej fantazji .

zji . Na miasto wyszedłem dopiero 4 października, aby dowiedzieć się co w trawie piszczy . Tego dnia niczego się jednak nie dowiedziałem . Za kilka dni przyszedł do mnie mój kolega, ze starszej klasy, Zdzichu Marczak i zaproponował mi pracę w podziemiu, w systemie piątek . Zdzichu pochodził z biednej rodziny, był nadzwyczaj uczciwym i solidnym człowiekiem, podchorążym rezerwy piechoty, mającym pełne kwalifikacje do tego rodzaju pracy i co do jego osoby nie miałem żadnych zastrzeżeń.^x Kto wie jakby się potoczyły moje losy, gdyby nie zaistniał mały incydent z milicjantem, żydem, który w zupełnie innym kierunku skierował moje kroki . Któregoś dnia, z końcem października, zauważyłem przez okno jak żyd milicjant brutalnie odepchnął moją matkę . Był to wystarczający dla mnie powód, by zbiec na podwórko, wyrwać kłapciuchowi karabin, wyrzucić go, a następnie skuć mu mordę, co też uczyniłem mając jedną rękę na temblaku . Po takiej przygodzie nie mogłem spokojnie siedzieć w domu i czekać z założonymi rękami aż po mnie przyjdą, a ja spokojnie włożę ręce w kajdanki . Zdażyłem tylko odpowiednio się ubrać, wpaść do domu do Gustki, zwrócić jej słowo, dając wolną rękę i polecając jej szybko wyjść za mąż, i znowu z Bakończyc zwiąłem do Lwowa, gdzie Wanda, córka państwa Hassów, wprowadziła mnie do konspiracji . Było to 29 albo 30 października 1939 r. W ciągu kilku dni zauważyłem, że konspiracyjni zbawcy ojczyzny za kołnierz nie wylewają, i że wódka leje się strumieniami . Wówczas pomyślałem sobie, że wódka i konspiracja zgodnie nie mogą iść w parze, i że prędzej czy później będzie wielka wsypa.

^xZdzichu przez całą wojnę pracował w A.K. i w ostatni dzień okupacji hitlerowskiej Przemyśla przechodząc polami Lipowicy został zastrzelony przez żołnierza niemieckiego.

W tej sytuacji poprosiłem o transfer albo do partyzantki do Puszczy Białowieskiej albo o przerzucenie mnie na Węgry. Jako powód mojej decyzji podałem, że absolutnie nie nadaję się do życia w konspiracji i obawiam się, że w sytuacji podbramkowej mogę się załamać. Obaw tych jednak nie miałem możliwości nigdy zweryfikować.

Po niedługiej naradzie postanowiono przerzucić mnie na Węgry. Na przerzut musiałem czekać do dnia 4 grudnia kiedy to zorganizowana grupa 9 osób wyjechała pociągiem do Delatyna, gdzie oczekiwał nas przewodnik. Ludzi tych poznałem dosłownie na dwa dni przed wyruszeniem w drogę. "Pan Jan" - major z 10. Pułku Ułanów Kałkaur, Tatar z pochodzenia, "Homicz" - ppor. Placyd Homicki, saper, "?" - ogniomistrz, nie pamiętam już nazwiska, o ile się nie mylę z Białegostoku, "Jan Góral" - ja, "Romek" - harcerz ze Stanisławowa, "?" - podoficer, dwaj studenci ekonomii, których nazwisk nie pamiętam oraz Zosia - mieszkanka Lwowa. "Pan Jan" w okresie późniejszym był dowódcą szwadronu szkoleniowego w 14. Wielkopolskiej Brygadzie Pancernej w 1945 r., Placyda Homickiego opisał później Melchior Wańkowicz, natomiast "Romka" widziałem jako podchorążego artylerii. Spotkałem go zresztą kiedyś w jakimś mieście włoskim na nieco "gumowych nóżkach". Podobno w tym czasie miał powrócić z Polski jako cichociemny w co zresztą nie wątpię, gdyż ten rodzaj służby w zupełności do niego pasował. Ale wróćmy do Delatyna. Przewodnik miał poprowadzić nas do granicy węgierskiej. Szliśmy całą noc i pół dnia aż wreszcie przewodnik wskazując ręką poinformował nas, że za tym pagórkiem znajduje się granica. Zainkasował pieniądze i udał się w drogę powrotną, a my? ... Maszerowaliśmy do tej granicy aż wreszcie 4 osoby z grupy posta-

nowiły wracać z powrotem do Lwowa . Natomiast "Pan Jan" , "Homicz", "Romek", Zosia i ja postanowiliśmy kontynuować marsz do końca . Po następnych dwóch dniach wędrówki i noclegu w huculskiej kolibie, 8 grudnia rano, wyrósł nagle przed nami przyczajony patrol sowieckich pograniczników, którzy z przeraźliwym wrzaskiem zawołali : "Ruki wwierch! Łożysia !" . I to był koniec przygody, a raczej początek tego co należałoby porównać do piekła na ziemi . Prowadzący nas pogranicznicy drwili, że daliśmy się złapać 100 m od słupka granicznego . Na myśl, że granica była tuż, tuż a my musimy iść do kryminału, ogarnęła nas bezsilna złość. Zostaliśmy złapani na terenie wioski Zełene~~je~~, a prowadzono nas do więzienia znajdującego się w piwnicy we wsi Rafajkowa, gdzie siedziało już około 30 osób . Grupa, która się od nas odłączyła, siedziała tam już od dwóch dni i miała cichą nadzieję, że może nam się przynajmniej udało, a tu drzwi się otwierają i triumfalnie wchodzi nasza czwórka . Zosię od nas odseperowano . Od nowych kolegów niedoli dowiedzieliśmy się, że przed nami, w tym samym mniej więcej miejscu, wpadł gen. Boruta-Spiechowicz wraz z rodziną Tabaków, do której należał późniejszy z-ca d-cy mego szwadronu Włodzimierz Tabaka, jego brat Alfred ~~Włodzimierz~~, żona Włodka, rodzice . Koledzy-powrotnicy zrobili nam miejsce przy sobie i zaczęli opowiadać przygodę jaka ich spotkała . Dwie godziny po odłączeniu się od nas wpadli w ręce pograniczników . Gdy byli prowadzeni i przechodzili koło leśniczówki leśniczego Wróbla /zdaje się, że Zbyszek było mu na imię/ tenże Wróbel ostrzelał sowieckich żołnierzy, aby dać możliwość ucieczki jeńcom . Na odgłos strzałów złapani zbaranieli i zamiast działać schowali się przed

strzałami . Rezultat takiego postępowania był fatalny, gdyż przyszła odsiecz i oblężony Wróbel, wystrzelawszy wszystką amunicję, został także złapany i dostarczony do Rafajłowej . Potem w brodę sobie pluł, że za takich gnojów przyjdzie mu stracić życie . I rzeczywiście . Później w Odessie, po odpowiednim skatowaniu został rozstrzelany w podziemiach więziennych . Był to wysokiej klasy człowiek prawdopodobnie pracownik dwójki .

Dowódcą placówki w Rafajłowej był por. Rybakow , z którego ust nie wyszło inne słowo jak przyozdobione we właściwy epitet sowieckiej nomenklatury przekleństwa w rodzaju "--- twoju Boha mać" i inne tego rodzaju powiedzonka . Wśród towarzyszy naszej niedoli w Rafajłowej, jak zwykle w takim przypadku, znalazł się też "starosta", który przedstawił się nam jako kapral Śledź . Po bliższym rozpoznaniu okazało się, że był to oficer 38. P.P. w Przemyśle, którego nazwiska nikt z nas nie rozszyfrował . Po latach dowiedziałem się, że "szczęścia" sowieckiego nie przeżył . Pewnego dnia wartownik prowadzący nas do ustępu zapytał jak to brzmi po polsku "szagom marsz" . Wówczas kapral Śledź stanął poważnie przed grupą i donośnym głosem wydał komendę : "Zap---dalaj !" . Ucieszony wartownik powtórzył sobie dla zapamiętania słowa tej komendy i stale jej używał ku naszej radości . Oczywiście nie obyło się bez tego, aby nie naprowadzić rozmowy na temat fabryk pomarańczy, bo w Związku Sowieckim wszystkiego musiało być wiele .

Wreszcie po pięciu dniach, gdy zebrała się większa grupa odtransportowano nas kolejką wąskotorową do nowego aresztu w Nadwórnej . Tu było nas już stosunkowo bardzo

dużo, tak że szkoła przerobiona na areszt nie mieściła wszystkich "pensjonariuszy" i nasi pielęgniarze zmuszeni byli do przerobienia na areszt jakiegoś magazynu. Spotkałem tu wielu ciekawych ludzi, m.in. dra Adama Grabera, który indagowany przez naszych aniołów stróży uparcie powtarzał w koło, że jest Polakiem wyznania mojżeszowego, a nie żadnym lwrejem. Faktycznie był to lekarz chirurg, baletmistrz, akrobata cyrkowy /dorywczo pracował jako rezerwowym w trupie czterech diabłów w cyrku Staniewskich/. Przy tym był jednym z liderów syjonistów w Polsce. W Odessie cerował nam wszystkim skarpetki, aby palce jego nie skołowaciały, i aby później nie zawiódł nas, gdy będziemy uzależnieni od sprawności jego rąk - rąk chirurga. Jako preludium tego przeprowadził operację carbuncum na jednym z naszych kolegów mając do dyspozycji tylko pincetę, żyłkę, zwykłą igłę do cerowania i świecę, nad której płomieniem dyzjenfekował swe instrumenty. Ze swojej jedwabnej koszuli przygotował nici i przystąpił do operacji, przy której asystował kol. Jakub Reingewirtz, warszawski antykwariusz. Tym sposobem uratował życie koledze, któremu, jak się okazało, pozostawało tylko 2 - 3 dni na ziemskim padole. Operację tę przeprowadził dlatego, że nasi opiekunowie na kilkakrotne wezwania o lekarza - odpowiadali: "Puskaj padochniet - wracza niet". Dr Graber zginął pod Monte Cassino 6 albo 7 maja 1944, podczas bombardowania wysuniętego punktu opatrunkowego.

Ostatnią Wigilię Bożego Narodzenia w Polsce spędziliśmy w więzieniu stanisławowskim, gdzie na sali przeznaczonej dla 6 osób znalazło się aż 65 ludzi. Znany już nam "Pan Jan" wydobyl z jakiegoś zakamarka opłatek wielkości 5 x 4 cm, podzielił go na 65 części i tak odbyła się ostatnia Wigilia

na naszej ziemi ojczystej, która długo będzie przez nas pamiętana. Opłatkami dzielili się wszyscy : Polacy, Ukraińcy, Żydzi i mimo surowych zakazów nic nas nie odstraszyło od śpiewania kolęd. Całe więzienie grzmiało od kolęd, dozorczy potracili głowy, ale byli bezsilni wobec nas tego wieczoru. Późno w nocy rozpoczęto rewizję na wielkiej sali, która jeszcze kilka tygodni temu była kaplicą więzienną. Dopiero kultura sowiecka wykorzystała to pomieszczenie we właściwy sowiecki sposób. Widziałem naskładowanych masę medalików, szkaplerzy, zegarków, pierścionków, piennędzy. Po tej rewizji wyprowadzono nas na podwórze więzienne i załadowano do przygotowanych, odkrytych, samochodów ciężarowych . Następnie powieziono nas na stację i załadowano do bydlęcych wagonów. Długo jeszcze czekaliśmy nim pociąg ruszył w kierunku południowo-wschodnim . Przed bramą więzienia w Odessie znaleźliśmy się 30 grudnia 1939. Rozlokowano nas po celach, dano nam jeść i o dziwo pozwolono tegoż dnia nawet na spanie w dzień . Była to tiumra N.K.W.D. Nr 22, przerobiona z klasztoru Bazylianów. Wtedy pomyślałem sobie : - Dziwne koleje człowiek przechodzi. Przed pierwszą wojną światową rodzice moi byli zupełnie zamożnymi ludźmi, a to dzięki swej ciężkiej, uczciwej pracy . Właśnie w Odessie mieli willę i interes-cukiernię, jako filię interesu głównego w Moskwie. Nigdy przedtem nie byłem w Odessie, aż nagle, ni stąd ni zowąd, przyjechałem tam, aby pomieszkać w nienajlepszych wprawdzie warunkach, ale zawsze . Początkowo siedziałem w pojedynczej celi z dwoma łózkami, którą zamieszkiwało 7 osób . Okazało się, że i tak były to cieplarniane warunki, gdyż później w takim apartamencie mieszkało nawet powyżej 20 osób. Cie-

kawe, że grupy naszej nie rozbito i miałem możliwość bliższego poznania i zbliżenia się z "Panem Janem", który dał mi swoją sympatią. Początkowo w więzieniu nie faszowaliśmy papierosów. Była to doskonała okazja do rzucenia tego wstrętnego nałogu, ale niestety tego nie zrobiłem. Na tę chwilę czekałem jeszcze 15 lat.

Zaczęły się śledztwa i to w wyrafinowany sposób. Nigdy nie wiadomo było kiedy. Przeważnie w nocy, gdy człowiek śpiąc snił o domu, matce /ojca straciłem mając 8 lat/, Gustce, o niedawno przebytej kampanii wrześniowej, o wolności... A tutaj otwierają się drzwi celi i dozorca wymienia nazwisko wzywając na przesłuchania.

Ciekawe, jak ^{różnie} człowiek reaguje na takie rzeczy jak pojawienie się tępionych normalnie szkodników. Otóż pewnego dnia, jakąś szparką, przyszła do celi mysz. Przyuważyliśmy miejsce i odtąd podkładaliśmy okruszyny chleba i obłaskawialiśmy ją. Niezadługo po tym nasza mysz przyprowadziła nam kilkoro swego potomstwa. I taka myszka potrafiła umilić życie więźnia. Po latach, w Ameryce, oglądając film o słynnym ornitologu - więźniu Sing-Sing, przypomniała mi się ta myszka.

Różne koleje przechodzili koledzy na śledztwach. Jednych bito i katowano, innym obiecywano złote góry i wolność czego nigdy nie dotrzymywano, a innym znowu, do której to kategorii i ja należałem, nawet palcem nie pogrożono. Przyznam się, że nigdy mnie nie maltretowano, a to dlatego, że kłamałem jak najęty, i że tę lekcję tak dobrze wyuczyłem się na pamięć, że czasami dłuższą chwilę musiałem się zastanawiać, jak ja właściwie się nazywam. A wzięło się to stąd, że we Lwowie od razu zaopatrzony byłem w papiery

na nazwisko "Jana Górala". Dlaczego występowałem pod pseudonimem ? Przecież niczego nie zrobiłem co mogłoby być zakwalifikowane jako przestępstwo. Tak, ale trzeba pamiętać, że samo nazwisko "Gurbiel" nie musiało lecz mogło stać się przedmiotem zainteresowania N.K.W.D., które mogło mieć dokładną ewidencję. Mój ojciec w r. 1920, po klęsce bolszewickiej, mimo sprzeciwu mej matki postanowił ratować życie i natychmiast uciekać do Polski. Matka natomiast nie wierząc w trwałość ustroju postanowiła mieć oko na interesie. Wówczas ojciec wstępuje do armii bolszewickiej, a będąc w pobliżu polskiej granicy urządza wyścigi konne do granicy. Przedsięwzięcie to zorganizowane było razem z kolegą. W wyścigu wzięło udział 7 koni. Przed samą granicą ojciec z kolegą ostrzelali z naganów rosyjskich jeźdźców, sami przegalopowując granicę. Wypadek ten spowodował aresztowanie mojej matki i osadzenie jej w areszcie "Czeki". Nie wiem co by się stało z moją matką, gdyby naczelnik Czeki nie zakochał się w mojej niańce, która codziennie przychodziła ze mną w odwiedziny do matki. Za cenę małżeństwa wypuścił matkę na wolność. Po takim doświadczeniu matka zrozumiała, że dalsze pilnowanie interesu byłoby bezcelowe .

Według wersji wymyślonej przeze mnie urodziłem się w Przybysławicach k/Miechowa w domu kułaka, gospodarującego na 100 ha, posiadającego 10 koni, 30 krów i niezliczoną ilość drobiu. Posiadałem liczne rodzeństwo : 4 siostry i brata. Nigdy nie ocierałem się o wojsko. Brat mój nosił imię Kazimierz, a siostry : Helena, Zuzanna, Antonia i Jadwiga. Były to imiona moich 4 kuzynek i dlatego na żadnym śledztwie się nie pomyliłem wymieniając te imiona.

Razu jednego zauważyłem, że ta moja historyjka tak do mnie przylgnęła, że nieraz zapominałem jak właściwie się nazywam. Gotów byłem sam uwierzyć w prawdziwość tej bajeczki. Ponieważ od razu przyznałem się do jednego z największych grzechów - pochodzenia kułackiego, nie maltretowano mnie na śledztwach zwłaszcza, że bajeczkę tą dziesiątki razy powtarzałem z dokładnością przecinków i kropek. Jak wyżej wspomniałem, do służby wojskowej się nie przyznałem i w związku z tym musiałem również nie przyznać się do odniesionej rany, choć ręka moja dalej była niesprawna. Maskowałem to przez wynoszenie "paraszy" kilka razy dziennie, aż wreszcie 2 lutego 1940, na Matkę Boską Gromniczną po raz pierwszy podniosłem do góry dłoń na kilka sekund. Od tej chwili stan mojej ręki zaczął się poprawiać z dnia na dzień i nie potrzebowałem obawiać się, że ręka ta może być przyczyną rozszyfrowania mego statusu wojskowego. Do poprawy tego stanu przyczyniły się w Przemyśle zastrzyki "neurotoniny", we Lwowie - masaż elektryczny na Kulparkowie, a w więzieniu, na polecenie dra Grabera, jeden z kolegów kilka godzin dziennie ją masował. Później ja musiałem masować innych kolegów. To był jeden ze sposobów aktywności w więzieniu. Sam dr Graber natomiast stał codziennie dwie godziny na głowie ku wielkiej ucieście dozorców. Jeśli chodzi o rozrywki umysłowe to grywaliśmy w szachy własnego wyrobu z chleba. W szachy grać nie wolno było, ale nas to nie wzruszało i ciągle po konfiskacie tychże produkowaliśmy nowe. Także karty były niedozwolone, które robiliśmy z ustników papierosowych. W swoim życiu widziałem wiele pięknych rozgrywek bridżowych, ale takimi, jak w krymi-

nale w Odessie, to niejedni mistrzowie nie powstydziliby się. Do najcenniejszych rozrywek w więzieniu było pobieranie nauki języka angielskiego. W naszej celi uczył Kuba Reingewirtz, który kończył podobno Oxford. Pilnym uczniem okazał się Romek, wyżej wspomniany harcerz. Największą jego pasją było uczenie się słówek. Napewno po demobilizacji czas spędzony w kryminale dobrze procentował. Niestety, jeśli chodzi o moją osobę to wolałem szachy i bridża.

I tak upływało życie między jednym a drugim śledztwem. Niektórych kolegów musieliśmy leczyć z obrażeń jakich doznali w czasie śledztwa, aż wreszcie zaczęto nam odczytywać wyroki wydane przez tzw. Trojkę. Skazanych umieszczano w innym korpusie więzienia. Przy końcu marca 1940 r. wezwano i mnie "z wieszczami" i odczytano mi wyrok. Dostałem dziecienny wyrok, bo opiewał tylko na 3 lata "isprawitelnich trudowych łagieriej". Śmiałyśmy się wszyscy z tych wyroków, małych czy dużych, bo wiedzieliśmy, że ilość lat skazania nie ma żadnego praktycznego zastosowania. Zawsze, bowiem, gdy wyrok miał się już ku końcowi znajdowano powód, aby go przedłużyć, by jak najmniejsza liczba exskazańców znalazła się na tzw. "wolności". W praktyce z łagrów się już nie wychodziło, gdyż niewolnicza siła robocza jak najbardziej odpowiada systemowi sowieckiemu. Poza tym łagry służyły również jako szuflada dla czasowo niewygodnych ludzi, którzy przez czas izolacji mieli możliwość zastanowienia się i ukajania przed władzą, jak to podobno miało miejsce z marsz. Rokossowskim, którego, gdy okazał się potrzebny, zabrano z łagru, intensywnie leczono i kazano mu dowodzić wojskiem na froncie. Podobno stan jego był tak ciężki, że nie wiele potrzebował jeszcze przeżyć w łagrach, aby zdatny był na pochówek.



Gdy po otrzymaniu wyroku przeniesiono mnie do piątego korpusu tego samego więzienia znalazłem się na obszernej sali, na której stłoczonych było około 50 osób . Było przynajmniej wesoło . Z nami był też "Pan Jan", który, jak zauważyli współpensjonariusze, godzinami stał przed oknem zabitym skrzynią i wpatrywał się przez szparę ciągle w jeden punkt . Zaniepokojeni koledzy o jego stan psychiczny próbowali cośkolwiek od niego wyciągnąć, ale daremnie . Nikt nie miał do niego przystępu . Wreszcie, po naradzeniu się, wysłano do niego mnie, jako że darzył on mnie szczególnym zaufaniem . Prawdopodobnie dlatego, że dwaj ułani zawsze i wszędzie darzą siebie szczególną sympatią . Gdy razu pewnego stał w swoim miejscu i dumał przystąpiłem do niego i zagadnąłem o sprawy zupełnie obojętne, aby w końcu, ni stąd ni zowąd, zapytać go wprost : - Panie Janie, co pan tam przez tę szparę widzi? Nie wytrzymał nerwowo stary ułan i puścił z oka łzę słabości . Po chwili odpowiedział drżącym głosem: "Widzisz smyku, z tego okna strzelałem swego czasu z kaemu na lotnisko . Po latach znalazłem się w tym samym miejscu w jakże odmiennej sytuacji!"

Zagadka została rozwiązana . Pan Jan dalej patrzył w przeszłość, a my już więcej o detale nie pytaliśmy .

W tej samej celi siedział z nami starszy pan - Jaksa Rożen . Okazało się, że był on ojcem mego kolegi Sławka i aresztowany został mniej więcej w tym samym miejscu co i ja . Za to samo przewinienie dostał 15 lat . Koniec jego był tragiczny, gdyż zatęsknił za nieco lepszym wyżywieniem i aby się znaleźć w więziennym szpitalu sztucznie wywołał sobie biegunkę wkładając kawałek mydła do odbytnicy . Nota bene ja zrobiłem to samo i jednego dnia poszliśmy do upragnionego szpitala . Organizm sześćdziesięciolatka nie wytrzy-

mał i stary pułkownik na trzeci dzień zmarł, a ja, dwa dni później, powróciłem do celi . Gdy maszerowaliśmy do szpitala z innej celi dołączył do nas jakiś wysoki młodzieniec, którego nie znałem, ale z wyglądu sympatyczny i dlatego w ciągu zaledwie kilku minut obydwaj rozszyfrowaliśmy się . Był to Kaziu Irzykowski z tej samej szkoły podchorążych i z tego samego rocznika tylko z innego szwadronu . Po tzw. amnestii służył w 1. Pułku Ułanów Krechowieckich i jako dowódca plutonu poległ w akcji adriatyckiej . Awansowany pośmiertnie do stopnia rotmistrza . W tej samej celi mieliśmy za towarzysza inż. Andrzeja Rzędkowskiego, oficera rezerwy, wspaniałego człowieka, który całymi nocami "czytał" z pamięci "Trylogię" Sienkiewicza . W marcu 1942 r. na stacji zbornej 7. Dywizji Piechoty dołączył szwadron Oddziału Rozpoznawczego, którego szefem był wach. Urban . Od niego to dowiedziałem się, że dowódcą tego szwadronu był inż. por. Rzędkowski, który niesłabie zmarł na tyfus tuż przed odejściem szwadronu .

Lato 1940 r. było nadzwyczaj upalne, a my w celi dusiliśmy się z braku powietrza . Gdy narzekaliśmy na taki stan rzeczy dozorczy pocieszał nas, że już niedługo to się skończy . I mówili prawdę, bo na początku sierpnia większości małowyrokowców, między innymi i mnie, dołożono po dwa lata . Odbyła się egzekucja Zbyszka Wróbla przez rozstrzelanie z rewolweru w potylicę, w czasie prowadzenia go po kazamatach piwnicznych więzienia oraz mjr. Schitza w ten sam sposób . Major Schitz był oficerem z pierwszej wojny światowej. Dowodził batalionem piechoty. W wojsku służył do wypadków majowych, a po zwolnieniu go z wojska był właścicielem cegielni pod Warszawą. Prawdopodobnie dał się we znaki naszym panom i władcom w wojnie bolszewickiej. Marzył o dowodzeniu batalionem

z własną artylerią, bronią pancerną, przeciwpancerną, łącznością, saperami. Prawdopodobnie znał on organizację batalionu wojsk brytyjskich, bo mniej więcej w ten sposób wyglądała organizacja wojska brytyjskiego. W tym miejscu muszę podkreślić, że wszystko co działo się w budynku wiedzieliśmy, gdyż sposobem stukania w rury potrafiliśmy przekazywać wiadomości.

Niezadługo, we wrześniu, dziewiątego albo dziesiątego, sformowano transport i jak zwykle w bydlęcych wagonach kolejowych przewieziono nas do przejściowego więzienia w Charkowie. Tam to spotkałem wielu ludzi z akcji podziemnej, wielu kolegów z Przemyśla. Tak jak przypuszczałem, dzięki wódce, Rosjanie wyłapali przywódców Z.W.Z. we Lwowie, których następnie w bezceremonialny sposób rozstrzelali. Należy przy tym zaznaczyć, że walka z napastnikiem hitlerowskim u naszych katów uważana była za takie samo przestępstwo jak walka z wojskami sowieckimi, bo Germancy to są przecież przyjaciele. Co tu się dziwić sowieckiemu stupajce skoro żołnierz amerykański i angielski w roku 1945 tak samo rozumował przyjaźń do Związku Radzieckiego.

Kogo spotkałem w Charkowie? Rudzia Koprowskiego - słynnego boksera przemyskiej "Polonii", wicemistrza wagi półciężkiej. Widziałem (lecz nie rozmawiałem z nim) Zdzicha Adamowicza, którego poznałem z daleka po charakterystycznym zakrywaniu rącznikiem kikuta lewej ręki. W korpusie kadetów granat zaczepny rozerwał mu się w ręce i stracił oczywiście dłoń.

W październiku znowu zabieraj się z "wieszczami" (rzeczami), znowu ładowanie do bydlęcych wagonów i znowu podróż, tym razem do Archangielska, gdzie po raz pierwszy w życiu zobaczyłem takie cuda jak drewniane chodniki. W Archangielsku nastąpiło przeładowanie na mały statek towarowy, przerobiony dla

celów N.K.W.D. do przewożenia więźniów. "Swiaga" - słynny statek widmo, o wyporności pięć tysięcy ton i mieszczący pięć tysięcy więźniów. Przeróbka polegała na tym, że w lukach porobiono ośmio - piętrowe prycze, na których się żyło, jadło, spało i bardzo często umierało z powodu zimna, głodu i wszelkiego rodzaju chorób . Najczęściej występowała dezyn-
teria, na którą było jedno wyjście - za burtę. Statkiem tym płynęliśmy przez Morze Białe do ujścia Peczory, do miejscowości Peczora. Ponieważ na statku konwojenci mieli za bliski kontakt z nami to brutalnością nadrabiali, aby nas zastraszyć. Wprawdzie nie potrzebowali, ale dało się to wyczuć .
Gdy jednego dnia koniecznie potrzebowałem wyjść na burtę w celu oddania hołdu naturze pilnujący mnie konwojent na-
dział się na swój własny bagnet. Gdy skończyłem akcję "ubor-
na" zauważyłem, że kanarek leży. W pewnym momencie zastanowiłem się co mam z tym fantem zrobić. Czy wyrzucić drania za burtę i sprawić mu cichy pogrzeb czy zanieść go na wartownię. Chwila zastanowienia zadecydowała, że to dwunożne zwierzę, mające pretensje bycia człowiekiem, zachowane zostało przy życiu. Zabrałem więc karabin, przerzuciłem przez plecy, a następnie zaniósłem delikwenta na wartownię. Nie doszedłszy jeszcze do wartowni zostałem obskoczony przez zgraję dwunożnych wilków, która przecięła mi pas od karabinu , a dopiero potem raczyła zainteresować się rannym. Oczywiście musiała to być moja wina i z hukiem wsiedli na mnie .
Po kilku minutach przyszedł do przytomności delikwent i zwer-
yfikował moją niewinność . Dzięki temu zostawiono mnie w spokoju.

Po dwóch dniach pobytu w m. Peczora trzy barki załadowano ludzkim towarem i holownik pociągnął je w górę Peczory. Na tych barkach to było naprawdę piekło. Ludzie marli jak

muchy i co chwilę widziało się pogrzeby, tj. wyrzucanie zwłok do wody na pożarcie rybom. A była to trzecia dekada października.

Jednego ranka zauważyliśmy płynącą krę, na drugi dzień staliśmy już zakuci w lód. Dano nam kilofy i łomy, aby wyzwolić holownik i barki z lodu, aż wreszcie naczałstwo dało za wygraną i opuściliśmy barki. Do osiągnięcia celu brakowało tylko ponad 100 km. Słabi i wycieńczeni z góry skazani byli na pewną śmierć, gdyż na samym końcu kolumny szedł specjalny patrol likwidacyjny, który dobijał odpoczywających, względnie już sztywniejących. O pogrzeb się wiele nie troszczono, gdyż robiły to za nich wilki .

W ciągu trzech dni pokonaliśmy tę przestrzeń maszerując po lodzie i brzegu, na którym znajdowały się olbrzymie krzaki porzeczek sięgające 8 m wysokości i nie tylko krzaki . Pod pokrywą białego śnieżnego puchu na tych krzakach znajdowały się wspaniałe grona czerwonej porzeczek. Dr Graber ujrawszy to zawołał : - Chłopcy, porzeczeki ! Jedliśmy tego dużo, bo i nic innego nie było oprócz słonej ryby. Porzeczeki sprawiły, że dezynteria została wstrzymana, a my zaczęliśmy przychodzić do siebie. Szkoda, że to szczęście nie trwało dłużej. Nocowaliśmy w wioskach ludu północy - "Komi" . Ci ludzie żyli z rybołówstwa, polowania a także z wyłapywania zbiegłych więźniów. W tym czasie zbiegło z naszego transportu czterech kolegów, pod przewodnictwem jednego z pensjonariuszy więzienia na św. Krzyżu, dobrego znajomego Piaseckiego, autora "Kochanka Wielkiej Niedźwiedzicy" i "Piątego etapu" . Po trzech tygodniach przyprowadzono ich do obozu 18 kolonii peczorskich łagrów. Zebrano wszystkich lud znajdujący się w obozie i kazano im przemaszerować przed naszym frontem ale w stroju adamowym, aby wszyscy zrozumieli, że ucieczka

z tajgi jest niemożliwa. Dziwna rzecz się wtedy stała, bo nikt z tej czwórki nawet się nie zakatarzył, a co dopiero mówić o dalszych chorobach. Okazuje się, że klimat syberyjski jest nawet zdrowy. Do pełnego szczęścia potrzebne jest tylko dobre futrzane odzienie, ciepła kwatery, olbrzymia ilość wielce kalorycznego pożywienia i nie za dużo pracy, szczególnie wyczerpującej. Na ironię tego wszystkiego brakło. Zresztą, gdyby było inaczej, to pocóżby nas tam wysyłano. Przecież umowy z Niemcami z sierpnia 1939 r. konsekwentnie przestrzegano i eksterminacja naszego narodu była ściśle dokonywana. Byliśmy tam zaganiani po to, aby umrzeć, a przed niechybną śmiercią wysysano jeszcze z człowieka ostatnie soki. Mówiono nam wprost w oczy, że dobry Polak, to martwy Polak. Dla szczególnego "uprzyjemnienia" nam żywota mieszano nas z rosyjskimi żulikami, gdyż według prawa sowieckiego nie istnieje status więźnia politycznego.

"Żulik" jest to określenie ludzi z najgorszego marginesu społecznego - złodziei, stręczycieli nierządu, bandytów, wszelkiego rodzaju zakały społecznej, których w Rosji znajduje się niesamowicie wielka ilość. Olbrzymia większość tej kategorii ludzi powstała w latach trzydziestych podczas likwidowania kułaków na Ukrainie. Bywało tak, że rodziców rozstrzelano, albo w inny sposób zlikwidowano, a ich dzieci pozostawiono sobie samym. Dzieci te organizowały się w bandy i tysiącami maszerowały przez kraj niszcząc wszystko po drodze jak szarańcza. Do walki z tą plagą używano wojska, które prowadziło z nią normalną wojnę. W końcu wyaresztowano ich i choć byli nieletnimi posadzono ich w normalnych więzieniach, gdzie mieli okazję doszkolić się w "zawodzie". Tych nieletnich przestępców nazywano "bezprizorni". W marcu 1940 r. miałem okazję poznać się z nimi bliżej, gdy ciało

moje zaatakował świerz. Wówczas odizolowano mnie i wsadzono do celi świerzbowatych "czesotecznych". W celi tej było już czterech "bezprizornych pacanów" leczących się z tego świństwa. Byli to chłopcy w wieku lat 13-15. Byłem przez cały tydzień świadkiem edukacji zawodowej tych dzieci przez piętnastoletniego wyrostka. Nasi policjanci i ich przedwojenni podopieczni nie powstydziliby się ich wiedzy z tej dziedziny. W tym miejscu trzeba zaznaczyć, że dla spędzenia czasu nasi przedstawiciele służby porządkowej i ich podopieczni, z którymi w więzieniu żyli w doskonałej komitywie urządzali również tego rodzaju "kursy" i bez bicia przyznam się, że dużo skorzystałem z tego, gdy znalazłem się w sytuacji bez wyjścia sam na sam z psem. Ale sądzę, że nie omieszkam tę scenę opisać w innym miejscu.

Gdy płynęliśmy "Swiągą" wśród niektórych z nas zrodziła się myśl opanowania statku siłą i skierowania go do Szwecji. Rozważaliśmy rozmaite warianty ale zdrowy rozsądek przeważał. Jakie były przyczyny, że do tego nie doszło? Przede wszystkim brak zaufania do wielu kolegów z naszego otoczenia - Żydów, którzy za niewielką cenę potrafią sprzedać nawet swego żydowskiego ziomka, a co dopiero nas. Następnie wielka ilość żulików, którzy ziajali szczególną nienawiścią do polskich panów. Nas wszystkich bowiem uważano za ciemieżycieli biednego robotnika i chłopca. Poza tym nie znaliśmy się i niewiadomo było kto z nas jest na usługach N.K.W.D., bo nie ulega wątpliwości, że tacy się znajdowali, tak samo jak w roku 80 i 81-szym w naszej Solidarności. Wreszcie znaleźliśmy się w lesie tajgi pod gołym niebem, gdzie powiedziano nam : - Tu będziecie żyć i umierać. Macie piły, siekiery i inne narzędzia, i im prędzej się pobudujecie tym dla was będzie lepiej.

Pierwsze dwie noce spaliśmy pod gołym niebem, na gałęziach świerkowych, tuląc się jeden do drugiego, aby było cieplej, jednocześnie normalnie pracując w lesie. Przy budowie ziemianki pracowała niewielka liczba ludzi. Jak ta ziemianka wyglądała? Otóż wykopano w zmarzłej ziemi dół na głębokość 1 m. Szerokość i długość zależała od wielkości namiotu przeznaczonego na pokrycie dachu. Następnie, z surowego drzewa, budowano szkielet tzw. pałatki, przykrywano namiotem, obkładając dach i boki darnią albo luźną ziemią. Dwupiętrowe prycze gwarantowały sypialnię na około 200 osób. Prycze budowane były oczywiście z okraglaków. Nie wymoszczone ani słomą ani sianem te madejowe łóża nie były zaudogodne. Zmęczenie jednak robiło swoje i sen przychodził niesamowicie szybko. Już w pierwszych dniach grudnia, szóstego albo siódmego, gdy jeszcze nie było najgorzej z mrozami, w lesie przy ognisku odmroziłem sobie obydwie nogi. Odmrożenia były drugiego i trzeciego stopnia. "Lekpom" - kapral ze szpitala wojskowego w Przemyślu podający się za lekarza nie mógł mi dać zwolnienia z pracy tłumacząc się, że już przekroczył swoje 4 % limitu z całości i zostałem jako "odkazczyk" w zonie, gdyż nie mogłem nawet chodzić. W danym wypadku organizm przyszedł mi z pomocą i przez trzy dni nie odczuwałem potrzeby wypróżniania się. Dopisało mi przy tym trochę szczęścia, gdyż w tym czasie pojawiła się w kolonii komisja lekarska, która momentalnie skierowała mnie do szpitala na leczenie. Nie zdawałem sobie sprawy z tego, że okaleczenie mojej prawej nogi przez częściowe odpadnięcie u niej palców, może stać się zbawienne dla mojej osoby, a przynajmniej zachowania życia. Z końcem grudnia mrozy zabrały się do ludzi na nieludzkiej ziemi, ~~zima była bardzo ciężka~~, nie na żarty i śmierć zbierała swe żniwo na roboczych koloniach.

Ludzie od mrozu i głodu marli jak muchy. Około Nowego Roku przyszedł odwiedzić mnie cień człowieka, który kiedyś nazywał się Ignacy Górka. W bieliźnie szpitalnej, nakryty kocem podchodzi do mnie i mówi : "Żegnaj, przyjacielu. Przychodzę do ciebie, bo wiem, że ty przyjść do mnie nie możesz. Do jutra mnie już nie będzie wśród żyjących. Przyszedłem pożegnać się z tobą. Popatrz co te chamy ze mnie zrobiły. Przeziębilem grypę, dostałem zapalenia płuc, które przez to, że je nie leczono znowu przeziębilem, a teraz umieram . Te chamy zabrały mi wszystko, a jednak jednej rzeczy nie zauważyły - ten oto szkaplerz, z którym mnie pochowają!"

Ignacy Górka, starszy ode mnie cztery lata, był fryzjerem łódzkim, bardzo pobożny, człowiek, zostawił tylko matkę. Leczeniem mego odmrożenia zajął się dr Walewski z Gór Świętokrzyskich. Nie za bardzo się do tego przykładął, a gdy zauważył, że na młodym organizmie goi się jak na psie zawezwał mnie do gabinetu i powiedział : "Chłopcze ! Twoje rany za szybko się goją i pamiętaj, że im dłużej posiedzisz sobie w szpitalu tym większą masz szansę przeżycia. Ja nie nie radzę, ale czasami i sól może prolągować twój pobyt w szpitalu!" I w ten sposób posiedziałem sobie w szpitalu do kwietnia 1941 roku. W szpitalu też nie obyło się bez przygód. Pominąwszy fakt, że w łaźni od razu moje ubranie wraz z butami w cudowny sposób znikło w eterze, miałem możliwość zaprzyjaźnić się Niemcem nadwożańskim - "predsydatielem" kołchoza oraz z Żydem moskiewskim - kierownikiem jakiegoś sklepu, który za jakieś malwersacje dostał 25 lat, i który postanowił dać z łagrów drapaka. Odmroził sobie obydwie nogi i wszystkie palce u nóg mu odpadły. Pozostał kaleką z 25 latami wyroku. Żeby otoczenie nie rozumiało naszych rozmów posługiwaliśmy się językiem niemieckim. Wyglądało to w ten

sposób, że ja i Niemiec używaliśmy niemieckiego, a Żyd Altschuler posługiwał się żargonem żydowskim. W każdym razie rozmowy odchodziły, zresztą nigdy nie mówiliśmy na trefne tematy. Jak było nas trzech tak żaden nie wierzył żadnemu. I to był ostatni raz jak w ogóle rozmawiałem po niemiecku. Później, nie mając możliwości używania tego języka zapomniałem go. Poza tym miałem jeszcze nie za bardzo przyjemny wypadek gdy grając w szachy z jednym z żulików zauważyłem, że ten, jakby nie było, dobry szachista, popełnia kardynalne błędy. Zaintrygowany tym zacząłem go obserwować i stwierdziłem, że zamiast na szachownicę wzrok jego skierowany był na mój serdeczny palec lewej ręki. Na palcu tym miałem złoty sygnet z rubinem, który moja matka wszyła mi w bluzę przed ucieczką do Lwowa. Przed zdaniem ubrania, nie zanedbując wierząc w uczciwość magazyniera, wyjąłem go, włożyłem na palec i obandażowałem. Przyzwyczailem się do tego i w pewnym momencie nie zauważyłem jak bandaż mi się lekko zsunął i akuratnie moment ten przychwycił mój partner. Posiedział jeszcze chwilę i po otrzymaniu mata odszedł. Wtedy, nie tracąc czasu, schowałem sygnet gdzie indziej, nożem skaleczyłem sobie palec, z powrotem obandażowałem i spokojnie czekałem co z tego będzie. Za jakąś godzinę po tym fakcie przyszło do mnie dwóch drabów i prosto z mostu zażądali ode mnie, abym dał im ten pierścionelek. Udałem zdziwienie, ale ci nie wiele myśląc złapali mnie za lewą rękę, ściągnęli bandaż i z oburzeniem zwrócili się do mnie pytając gdzie jest ten pierścionelek. Udałem Greka lecz nic mi nie zrobili, bo tak długo jak tajemnica pierścionka należy do mnie żyjącego, tak długo oni mają szanse jego wyegzekwowania, obojętnie gdziebym się nie znajdował. Zrozumiałem, że muszę go sprzedać i więcej się nie narażać. Sanitariuszem na sali był,

jak się później okazało, ppor. lotnictwa Groszek. Jego to więc poprosiłem o pośrednictwo w sprzedaży tegoż. Otrzymałem za niego 250 rubli w gotówce, 10 paczek machorki, 10 olbrzymich główek czosnku (ten właśnie czosnek był najcenniejszym przedmiotem w tej transakcji) oraz 3 kg chałwy słonecznikowej. Zważywszy na fakt, że pobyt mój w szpitalu trwał jeszcze tylko dwa dni mogę uważać, że transakcja opłaciła mi się. Zdaje mi się, że Groszek też był z tego zadowolony.

Przed samym zwolnieniem ze szpitala, zupełnie przypadkowo z innego baraku szpitalnego przyszedł do mnie w odwiedzinę współtowarzysz doli i niedoli, którego nazwiska już nie pamiętam. W każdym razie Żyd i komunista. Tak długo był komunistą dopóki Rosjanie nie zaaresztowali go za jego przekonania. Rozmawiając o wielu sprawach wspomniał, że siedząc w więzieniu moskiewskim spotkał się z towarzyszem niedoli gen. Andersem, który wywarł na nim niesamowicie dziwne wrażenie in plus. W tym czasie nie za wiele wiedziałem o Generale, tyle że był dowódcą Kresowej Brygady Kawalerii. Parę miesięcy później dowiedziałem się, że ten oto Generał organizuje Wojsko Polskie w Rosji .

Wreszcie znalazłem się w obozie na kolonii, gdzie z powodu zimna, głodu i nadmiernej pracy zmarło około 40 % stanu. Kimś trzeba było nadrobić powstałe straty w produkcji. Ale jak ? Rzecz prosta - kosztem zwiększenia i tak wysokiej normy. Z radością przyjęto fakt mego powrotu. Zawsze to jedna para rąk więcej do pracy. Inkorporowano mnie do brygady drwali Kryckiego - człowieka strasznie bluźniącego na ludzi, biegającego to tu, to tam. Wszędzie go było pełno. Można więc było pomyśleć, że człowiek ten jest strasznie oddany i państwu i partii i wszystkim diabłom tego świata. Tymczasem w n

cy podchodzi do mnie, kładzie się przy mnie i czystą polszczyzną zaczyna mi tłumaczyć swoje postępowanie. Powiada mi więc, że tak należy robić, aby przeżyć, gdyż w przeciwnym razie nie wytrzymam w łagrach ani pół roku, a żyć trzeba trochę dłużej. Przed nim samym rysowała się perspektywa aż 15 lat siedzenia. Okazało się, że jest to Polak, którego dziad był zesłańcem po powstaniu styczniowym. On sam z zawodu był cieślą, a mając w swojej brygadzie kilku Polaków chciał, aby ci ludzie przeżyli. I tak zaczęła się lekcja jak należy pracować, aby zachować dobry stan duchowy i fizyczny. Lekcję tę wziąłem sobie głęboko do serca i w lesie próbowałem praktycznie ją przeprowadzić. I rzeczywiście. Pracując w pojedynkę wyrabiałem nadspodziewanie aż 150 - 170 % normy. Tym sposobem można było lekko wykonać nawet i 250 %, ale to wystarczyło. W czasie pracy odżywiałem się w lesie sokiem brzożowym, bardzo zdrowym, zawierającym dużo witaminy "C". Nadcinałem pniek nie starej brzozy, wkładałem i wciskałem patyk, podkładałem kociołek i wracałem do produkowania lewych norm. Wołodia Krycki znaczył sęgi, mierzył, kłął na czym świat stoi, wpisywał moją produkcję i szafa grała.

Pewnego dnia przychodzi do mnie Wołodia i powiada :
- Źle się dzieje, bo wkrótce zaczął~~ę~~ zwozić nasze sęgi. Za wszelką cenę trzeba więc je spalić, aby nie pozostało po nich śladu. I tak zaczęła się ciężka praca, a raczej wysiłek nad sposobem spalania tego wszystkiego. Praca nasza polegała na tym, aby ściąć drzewo, oczyścić je z gałęzi, gałęzie spalić, a kłody pociąć na długość 2,30 m, tj. na długość podkładu kolejowego. Tymczasem sęgi były długie, na zewnątrz wszystko grało, a w środku był śnieg. Ot i cała tajemnica stachanowca. Przed opuszczeniem miejsca pracy kilka razy

próbowałem podłożyć żar pod kilkoma sągami, ale przez kilka dni nic mi jakoś z tego nie wychodziło. Za którąś tam próbą, gdy byliśmy oddaleni o jakieś 3 kilometry od miejsca pracy zauważyłem, że czerwony kur zabłyszczał swoimi językami. Trzeba było szybko uciekać do obozu, aby ogień nie dosięgnął nas. W tym miejscu wspomnę, że wszystko drzewo przeznaczone było na budowę linii kolejowej Kotlas - Workuta. I tak spaliło się około 10.000 ha lasu. Drogiego, bo powalonego. Było śledztwo, ale do niczego nie doprowadziło.

W tym miejscu muszę również wspomnieć o zabawach rosyjskiego marginesu społecznego i jemu podobnych. Najpopularniejszą zabawą była gra w karty, poker, ferbel oraz inne gry hazardowe. Byłem świadkiem gry w pokera czterech asów elity lagernej, którzy oczywiście byli w posiadaniu, jak na więźniów, bajonskich sum pieniędzy. Jak zwykle znachodzi się zawsze ofiara, która funduje pozostałym pokera. I w tym wypadku znalazł się taki, który przegrał nie tylko wszystkie swoje pieniądze, ale i ostatnią koszulę. Oprócz tego zaciągnął dług honorowy płatny w ciągu 24 godzin. Wreszcie trzech towarzysze zabawy zdecydowali, że oddadzą mu ubranie, które przegrał i wrócą mu pieniądze, gdy zamiast długu przyniesie głowę naczelnika Ochrony. Do 24 godzin dług został spłacony. Nieszczęsny delikwent natomiast otrzymał dodatkowe 15 lat. Wprawdzie ta głowa szefa Ochrony nie za wiele więcej była warta, ale świadczy to tylko o poczuciu odpowiedzialności i humoru.

Po pożarze lasu nastąpiły przemiany, o których wiele przed tym mówiono. Część kolonii, między innymi i mnie, odprawiono do tundry nad rzeką Usa. Tam to, na piątym przyczale, pracowałem jako "gruszczyk" - tragarz na przystani. Wyładowywaliśmy żywność, załadowywaliśmy natomiast drzewo - budulec.

I tu szczęście znowu się do mnie uśmiechnęło, gdy będąc w posiadaniu takich skarbów jak machorka i czosnek podkarmiałem, uprawiającego głodówkę, więźnia Rosjanina, który za chuligańskie zachowanie w wojsku został zdegradowany i zesłany na kilka lat. Okazało się, że eks-kapitan był synem jednego z wiceministrów, a głodówkę uprawiał dlatego, gdyż chciał zostać oficerem politycznym w obozie. Mówiąc między nami, marzeniem jego było rządzić, bo do tego się sprowadza rola każdego politruka. Podobnie zresztą jak i u nas w Polsce pod sowiecką okupacją. I o dziwo ! Cel swój uzyskał, a z wdzięczności wyrobił mi Wania posadę w kuchni, gdzie pracowałem jako szef nocnej zmiany. Gdy mu uczciwie powiedziałem, że nie mam żadnego pojęcia o gotowaniu to doradził mi wziąć sobie dobrego pomocnika, gdyż tu chodzi przede wszystkim o dobrego szefa, bo obcy za dużo kradnie. Miał rację. Poprzednik mój przynajmniej 40 % sprzedawał, pił ile wlażło, i żeby był najlepszym kucharzem, to tego rodzaju braków nie był w stanie nadrobić.

Już w pierwszą noc, dzięki mojej ignorancji, zyskałem sobie miano doskonałego kucharza. Ognisko paliło się pod dwoma kotłami. W jednym gotowała się grochówka, a w drugim woda, do której miała być wrzucona kasza owsiana. Gdy woda się zagotowała, mój "pomocnik", Romek Pasztaleniec, kazał swojemu "szefowi" wrzucić do niej 3 wiadra owsa. Ja, zamiast do wody wrzuciłem do zupy jedno wiadro. Momentalnie zorientowałem się i powiedziałem o tym Romkowi, a ten kazał mi się uzbroić w kopystrę i mieszać zupę do rana. Rano, wołając "lekpomszą", aby przeprowadziła inspekcję kuchni, coś niemożebnie tłumaczyłem się, że zupa niekoniecznie jest pierwszej jakości, ale ta tylko zamruczała "uwidim". Skosztowawszy powiedziała "niczewo" a współtowarzysze, którzy mieli to spożywać nie mogli wyjść z podziwu jak to się stało, że łyżka w zupie stała i w taki

oto sposób rozeszła się sława o wspaniałym kucharzu.

Niezadługo jednak cieszyliśmy się (ja i Romek) kucharzeniem, bo po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej przyszedł rozkaz, aby wszystkich Polaków zdjąć z tego rodzaju robót. Dlaczego? To była ścisła tajemnica. Najważniejsze, że wybuchła dawno oczekiwana wojna. Radość nie z tej ziemi!

Tu przerwę, gdyż wypada nieco szerzej opisać ten okres pobytu na 5 pryczale.

Wyładowywaliśmy żywność. Po chwiejnym trapie musiałem nosić 72 kilogramowe worki z mąką i składać je w sterty na brzegu. Przy takim wyładunku nie obyło się, aby jakiś worek nie został uszkodzony, a zawartość ~~nikąd~~ znikła bez śladu. Tak samo było z wyładowywaniem beczek ze słonym mięsem. Czasami specjalnie podłożyło się olbrzymi kamień, o który rozbijała się beczka, a mięso znikało jak kamfora.

Pracując w kuchni, nie powiem, abym się nie starał o przyzwoite sporządzanie potraw. Dlatego chodziłem do lasu i szukałem dzikiej cebuli i czosnku. Jednego dnia, w tundrze znalazłem małe bajorko i z ciekawości przyglądałem się wódzie. I o dziwo! Zauważyłem pływające karasie. Zostawiłem je w spokoju, ale na drugi dzień przyszedłem razem z Romkiem i ze sprzętem (moskitiery na twarze) i wyłapaliśmy je. Co to była za uczta!

"Lekpomsza" była to sanitariuszka, która na froncie fińskim dostała się do niewoli i za to otrzymała "tylko" 15 lat. Była jedyną kobietą na pryczale i w związku z tym nie jestem pewien jak wyglądało jej morale.

Poza tym była brygada Litwinów, którzy nie wiem za co byli pozamykani, ale imponowali nam swoją postawą, butnością i zgraniem. Ich duchowy przywódca przyszedł do mnie

i zaoferował mi pomoc w skrobaniu ziemniaków w nocy. I tak przychodziło do mnie regularnie od 6 - 8 Litwinów, którzy oprócz tego, że pożywili się dobrze to jeszcze schowali coś za pazuchę dla swoich współbraci. Jednym słowem ja miałem z nimi dobrze, a oni ze mną jeszcze lepiej.

Z Romkiem przeznaczeni byliśmy do ładowania budulca na barki. Ładowano idąc po cienkim trapie i bardzo chwiejnym a wpadnięcie do wody groziło tym, że człowiek mógł się stać pożywieniem ryb-zębatek, które podpływały tutaj z Morza Białego. Zębata jest to olbrzymia ryba dochodząca do 2 m długości, a ząbki jej nie zachęcają za bardzo do zetknięcia się z nimi.

Raz niosąc z Romkiem cedrową kłodę zorientowałem się, że nie dam rady pokonać trapu. W połowie drogi zatrzymałem się i powiedziałem : - Romek, na komendę 3,4 zrzucamy to do wody. Na ten widok dziesiętnik - Karpatorusin - podskoczył do mnie i z oburzeniem zaczął krzyczeć jak ja śmiem w ten sposób traktować dobro Związku Sowieckiego. Popatrzawszy odpowiednio na głupca odpowiedziałem : "Niech Stalin to nosi, o ile sprawia mu to przyjemność. To on powinien być na moim miejscu" . Na to dictum niedoszły właściciel ziemi polskich obszarników powiedział : "Czekaj, ty z łagrów nigdy nie wyjdiesz" . I kto wie czy tak by się nie stało, gdyby nie interwencja dwumetrowego Litwina, który podszedł do niego, pogroził mu palcem przed nosem i powiedział : "Skoro słowo tylko piśniesz na tego chłopca to ty nie spodziewaj się dłużej żyć jak 24 godziny" . Takie dictum pomogło, a ja zawsze z szacunkiem wspominam dobrze trzymającą się litewską brygadę i choć później różnie bywało, to szacunek mój dla Litwinów jest niezmienny.

Nas Polaków nie było tam wielu, bo tylko pięciu. Z tego trzech kucharzy, "zawiedujuszczy bazy czos" - inżynier Białorusin oraz lwowski kolejarz, "specjalista", który żył z pociągów międzynarodowych i sklepów jubilerskich, a na Usie przechodził do mnie, aby się pożywić, gdyż nie mógł splamić swoich rąk jakąś pracą, w szczególności dla Sowietów. Na późniejszych stronach niniejszego opowiadania jeszcze wspomnę o nim.

Wreszcie przy końcu lipca, gdy wszyscy poszli do pracy, nas pięciu zatrzymano i oznajmiono, że od tego właśnie momentu jesteśmy wolnymi obywatelami, i że mamy zaciągnąć się do Wojska Polskiego, względnie sowieckiego. Zostaliśmy zwolnieni na podstawie "amnestii" dla Polaków. Wydano nam nowe umundurowanie lagierne : watowane portki, fufajkę, buszłak oraz bieliznę. Dano nam też po 250 rubli, suchy prowiant, zaświadczenie o zwolnieniu z łagrów i odtransportowano nas do jakiegoś większego skupiska Polaków. Tak rozpoczęła się podróż w nieznane do upragnionego wojska. A był to już sierpień. Zaniedługo śniegi i mrozy dadzą się znowu we znaki. Trzeba więc było czym prędzej znaleźć się jak najdalej, w lepszym klimacie. I tak rozpoczął się nowy etap życia podróży do wojska, do którego dotarcia było jeszcze tak daleko. Nasuwa się pytanie dlaczego, skoro nieprzyjaciel robił postępy na całej linii frontu, a całe dywizje sowieckie bez strzału poddawały się do niewoli. Tak, ale niewielu Polaków, a nawet Żydów miało zamiar zaciągnąć się do ruskiego wojska, a poza tym trzeba było wypełnić zobowiązania w stosunku do niedawnego sprzymierzeńca Hitlera, prowadząc dalej politykę eksterminacji Polaków nieco zmienionym sposobem. Dlatego utrudniano wszelkimi sposobami dotarcie Polaków do punktów zbornych tworzących się dywizji, jak Buzukuk, później Jangi Jul, Kermine . Przy-

chodziło to Sowietom łatwo, gdyż byli mistrzami dezinformacji i skierowywali transporty w przeciwnym wręcz kierunku. Tak samo i ja, wraz z tysiącami innych, skierowany zostałem aż do rzeki Amu-Darii, aby popłynąć w dół, w kierunku Morza Aralskiego na roboty rolne i do fabryk.

Nim zacznę opisywać pobyt w Turkulu i okolicy muszę wspomnieć również i o jaśniejszych chwilach podróży. Otóż odjazd pociągu z Łagrów odbył się w kierunku Kotlas - miasto więźniów, gdzie po raz pierwszy w życiu kobieta ogoliła mnie w salonie fryzjerskim. Dziwne to było uczucie poddać się zabiegom takiego fryzjera, ale co miałem robić, skoro miało się szczerzy zamiar być Europejczykiem. W czasie tej podróży widziało się tragikomiczne obrazki. Przy każdorazowym zatrzymaniu się pociągu ludzie, nie mając najelementarniejszych nawet urządzeń sanitarnych w pociągu, masowo wysiadali (mężczyźni, kobiety, dzieci) i kucając oddawali hołd naturze. Później widziałem wspaniały rysunek artysty grafika przedstawiający tę scenę. Ot, kultura sowiecka.

Raz znalazłem się w tragikomicznej sytuacji, gdy głodny wyskoczyłem z pociągu, aby w miasteczku kupić trochę chleba, którego oczywiście nie kupiłem, bo i nie było. Przyniosłem natomiast dwie flaszki szampana, co musiało imitować chleb. Również w tej podróży, gdy zaszedłem raz do przyzwoitej zagrody w celu zakupu żywności, młoda Ukrainka poczęstowała mnie wspaniałym barszczem ukraińskim. Było to pierwsze pożywienie na tzw. wolności. W innej znowu zagrodzie, gdy wszedłem do środka, natychmiast posadzono mnie za stołem, przy którym już siedział człowiek wyglądający na lat 65, przy którym skakała jego żona płacząc z radości i szczęścia. Okazało się, że ten "starzec" był jej 47-letnim mężem, który przed trzema godzinami powrócił

z łagrów. Siedział w nich tylko 5 lat.

Następnie podróżowałem jak się dało nie zważając na przydzielony pociąg, bo w tym niesamowitym bałaganie sowieckim i tak nie można się w niczym wyznać i połapać. Jeźdźcie więc pociągami osobowymi, a na niektórych odcinkach drogi i sanitarnymi, aby tylko naprzód i do właściwego celu. Dotarłem wreszcie do Taszkientu i Samarkandy gdzie stwierdziłem, że w jednym mieście jest pod dostatkiem wyrobów tytoniowych, a w drugim nie brakuje zapalek i tak jeździłem z towarem między Samarkandą a Taszkientem. Jednego dnia na ulicy Taszkientu ktoś mnie łapie za ramię i groźnie do mnie rzecze: "A, mam cię taki a taki synu!" Gdy sięgałem ręką do kieszeni po nóż, tamten brodaty osobnik śmiejąc się rzekł: "Schowaj ten kozik głęboko, bo możesz się jeszcze skaleczyć". Poznałem znajomy głos, ale gdzie ja tego człowieka widziałem za żadne skarby nie mogłem sobie przypomnieć. Zapuścił bowiem brodę. Okazało się że był to już wyżej wspomniany "kolejarz" pociągów między narodowych, "jubiler", lwowski batiar, który nie zapomniałszy o przysłudze jaką mu wyświadczyłem pragnął mi się odwdziżyć. Skorzystał więc z przypadku, że mnie spotkał. W ten oto sposób od razu stałem się zamożnym człowiekiem. Wreszcie jakimś cudem trafiłem na swój transport, załadowałem się na barkę i popłynąłem w dół Amu-Darii do miasteczka Turkul, położonego o kilkadziesiąt kilometrów od Morza Aralskiego. W dosłownym tłumaczeniu "Amu-Daria" znaczy "straszna rzeka". I rzeczywiście była naprawdę straszna skoro piloci obawiali się pilotować w nocy. Poza tym dno nigdy nie było pewne. Czasami w ciągu jednego dnia głębina wodna zamieniała się na nie do przebycia mieliznę

Bliżej Morza Aralskiego siedlisko swoje miały tygrysy, ale te były mniej niebezpieczne niż nasi gospodarze.

Przed załadowaniem się na barkę doleciało mnie z innej barki wołanie : "Kapitan F. !" . Zaintrygowało mnie to, gdyż było to nazwisko mego kuzyna, któremu moja matka swego czasu wiele pomogła. Odszukałem więc go i nie omyliłem się co do tożsamości osoby. Zapropomowałem mu, by wspólnie przejść ten nietypowy okres, gdzie jeden drugiemu mógł być naprawdę podporą. Gdy otrzymałem krótką, ale zdecydowanie odmowną odpowiedź zostawiłem mu kilkaset rubli na drobne wydatki i pożegnałem się. Wówczas otrzymałem zaproszenie pozostania, ale wtedy ja już nie chciałem z niego skorzystać. Jeszcze raz spotkałem się z nim w Tel-Avivie, w jakiejś kawiarni, ale z kapitana zrobił się podporucznik. Woenną skończył rzeczywiście jako kapitan choć nie słyszałem, aby za długo wojował. Wyjechał bowiem do Wyższej Szkoły Wojennej. Spotkanie z nim było nie za bardzo miłym epizodem.

W Turkulu dostałem przydział do kołchozu uprawiającego bawełnę, ale szybko zorientowałem się, że ten przydział nie był zanadto szczęśliwy. Zobaczyłem jednak, że "lepioski" uzbeckie piecze się w okrągłych glinianych piecach , w których pali się krzakami bawełny. Podglądałem więc technikę zaprawy glinianej i stałem się przypadkowo zdunem. Budowałem więc piece, ale nie mogłem na jednym miejscu za długo posiedzieć, gdyż zawsze istniała możliwość zawalenia się ich i wtedy byłoby ze mną naprawdę źle. Gdy po pewnym czasie stwierdziłem, że piece stoją nabrałem zaufania do swoich zdolności manualnych. Byłoby dobrze, gdyby na te piece było większe zapotrzebowanie, a tak, z braku roboty, musiałem wrócić do Turkula, gdzie zaciągnąłem się do fabryki czyszczenia bawełny jako tragarz nasion. Zarabiałem

niewiele, bo aż 5 rubli dziennie i to na akord. Znalazłem jednak inne źródło dochodu, nie zawsze licujące z godnością człowieka, ale pocieszałem się tym, że sami gospodarze tego kraju zawsze byli na opak z etyką. Poza tym, żyjąc w dużej gromadzie radziliśmy sobie nieźle wybijając prawie wszystkie psy w mieście, pracując w piekarni, w rzeźni czy też handlując między sobą. Wreszcie znudziło się nam tego rodzaju życie, zrobiliśmy między sobą składkę na dwa bilety lotnicze i wysłaliśmy dwóch oficerów ppor. Tabakę i Groszka, znanych już z poprzednich stron tej relacji, do sztabu armii z przypomnieniem, że tacy ludzie jak my też chcą znaleźć się w wojsku. Nasi oficerowie nie zawiedli, a powróciwszy do nas przywieźli rozkaz naczelnych władz N.K.W.D. natychmiastowego odesłania nas do Kermine, gdzie się formowała 7. Dywizja Piechoty.

Nastąpiła więc powrotna podróż w górę rzeki, która też miała swój urok. Trzy barki ciągnęły się za holowni - kiem lecz płynęły znacznie wolniej, bo w górę. Na noc przybijały do brzegu, a my poborowi na brzeg i na polowanie. Rezultatem tego polowania było to, że na stacji docelowej czekały na nas silne oddziały N.K.W.D. Na ich widok, żeby zatrzeć corpus delicti olbrzymią ilość mięsa wrzuciliśmy do wody rybom na pożarcie, a sami przeszliśmy dokładną rewizję. Było śledztwo, które nic nie wykryło i tak stanęliśmy przed komisją poborową. Lekarze, na nasz widok, wybałuszili oczy pytając się, gdzie tacy ludzie mogli się uchować. Byliśmy dobrze odżywieni co nie zdarzało się w tamtych ponurych dniach. Naprawdę przybyło 2000 chłopów, z wyglądu choć mury nimi walić. Trzeba przyznać, że bractwo było odżywione psim mięsem, które jadało się w Turkulu, a w czasie powrotnego transportu surową wołowiną, gdyż na

barce nie można było rozniecać za wiele ognisk ze względu na niebezpieczeństwo pożaru. Wobec takiej alternatywy nie pozostawało nic innego do wyboru jak spożywać "tatar" . Widok na Stacji Zbornej w Kermine nie był zanadto wesoły. Dwie trumny bez przerwy kursowały z izby chorych na cmentarz, aby tam do wspólnej mogiły wyrzucać zwłoki i wracać po następne. Było to przy końcu marca 1942 r. Dowiedziałem się, że na tej jednej Stacji Zbornej zmarło na tyfus około 7000 ludzi. Podobno do sierpnia cyfra ta sięgnęła 10000. Krążyły plotki, że podobno złapano jakiegoś kaprała, Żyda, który pracując dla N.K.W.D. pełnił funkcję kierownika dezynfekcji i po wyjęciu wydezynfekowanej odzieży wypuszczał na nią zakażone tyfusem wszy. Podobno sprawiono temu człowiekowi cichy pogrzeb, aby bez rozgłosu sprawę tę załatwić. Ale czy to jest prawda ? Na to pytanie odpowiedzieć nie potrafię, ale wszystko na świecie jest możliwe. Po umundurowaniu naszej grupy w Kermine nie zabawiliśmy zbyt długo. Skierowano nas od razu do Krasnowodsk gdzie już czekał na nas statek-cysterna "STALIN" .

Wróćę jeszcze do Kermine. Czekać tam na odjazd i opuszczenie nieludzkiej ziemi postanowiłem pozbyć się wszystkich pieniędzy jakie miałem przy sobie. Nastąpiła chwila, gdy za ostatnie 10 rubli kupiłem szklanę machorki, zrobiłem solidnego skręta, zapaliłem, a mając przeświadczenie, że jutro będzie dniem odjazdu - uważałem ten dzień za najszczęśliwszy w Rosji.

Nastąpiło załadowanie nas na statek. Oprócz nas załadowano jeszcze wiele innego wojska, między innymi Szkołę Podchorążych 6. Dywizji Piechoty. W każdym razie układano nas w przysłowiowe sardynki w puszce. Dowiedziałem

się również, że płynie z nami jako komendant transportu gen. Boruta-Spiechowicz, którego w więzieniu lwowskim rozpoznał przemyski Żyd i za przysłowiową miszkę soczewicy doniósł o nim N.K.W.D. Gdy odbijaliśmy od brzegu, salutując, zegnał nas ze łzą w oku ppłk. Zygmunt Berling .

I tak 4. IV. 1942 r., w pierwszy dzień Wielkanocy, po czterog^{dniowym}~~godzinym~~ bujaniu się po wzburzonym Morzu Kaspijskim, dobiliśmy do brzegów Pachlevi w Iranie. Po wyładowaniu, gen. Boruta-Spiechowicz zebrał w szyku familijnym całe nowoprzybyłe wojsko na odprawę, na której powiedział : "Przynajmniej raz w życiu miałem satysfakcję, że wyrzygałem się na Stalina i łem się na niego" .
Wszyscy w śmiech.

Sama podróż nie wyglądała tak gładko. Mieliśmy kilka wypadków śmierci. Jakże charakterystyczna i wymowna była śmierć jednego Żyda, który z makuchem w ustach zastygł w śmiertelnym uścisku. Inna rzecz, że tenże jeszcze w Kermine chodził wszędzie i żebrał o jedzenie, podczas gdy w tym czasie za pieniądze można było wszystko kupić u Uzbeków. Człowiek ten zmarł posiadając w kieszeni kilkanaście tysięcy rubli.

Niedaleko od miejsca lądowania stały namioty, nad którymi powiewały proporczyki 1. Pułku Ułanów Krechowieckich. Jak się okazało Pułk ten był oddziałem kwatermistrzowskim w Pachlevi. Było to blisko lecz nie za bardzo jak na moje fizyczne możliwości. Chociaż miałem wielką ochotę znaleźć się tam to jednak musiałem położyć się, aby nabrać sił. Gdy tak zasnąłem na plaży ktoś lekko trąca mnie w nogę. Otwieram oczy, patrzę i poznaję Szczepka Mierzejewskiego, szwadronowego kolegę ze Szkoły Podchorążych.

zych. Po przywitaniu zabrał mnie ze sobą do swego namiotu gdzie posiedziałem sobie przez kilka dni w celu odkarmienia się. Na ziemi irańskiej anioł śmierci też nie zapomniał o swoich ofiarach. Ofiary te były rezultatem nadmiaru pożywienia po rosyjskiej głodówce. Persowie sprzedawali za tzw. psie pieniądze kaczki jaja dzikich kaczek gnieżdżących się na pobliskich błotach oraz dzikie karpie, które gotowało się w wiadrach na rozpalonych ogniskach. Nie pomagało przemawianie do zdrowego rozsądku, aby być ostroym i lepiej nie dojeść. Wygłodzeni ludzie rzucali się na jedzenie, które w danej chwili było zabójcze. Wytrzymywały tylko najtwardsze organizmy.

Następnie nastąpił transport przez góry. Drogi wiszące nad przepaściami kierowcy kurdyjscy pokonywali z niesamowitą wprawą, chociaż nie obyło się znowu bez ofiar i to dużych. Powodem była oczywiście niezawodna wódka. Pijany kierowca leciał w stumetrową przepaść, a z nim przynajmniej 30 naszych żołnierzy. I tak po wielu tarapatach, popasając w rozmaitych obozach, z których najbardziej podobał mi się położony nad jeziorem Habbaniya, dotarliśmy wreszcie do Palestyny, gdzie czekała na nas Samodzielna Brygada Strzelców Karpackich, która w związku z naszym przybyciem rozrosła się do ram dywizji. Mnie, jako kawalerzystę, przypadł w udziale przydział do plutonu rozpoznawczego 2. Batalionu Strzelców Karpackich. Zostałem dowódcą sekcji w plutonie dowodzonym przez ppor. Franka Witwickiego. Franek później odszedł na zastępstwo dowódcy kompanii strzeleckiej, a potem przeniósł się do lotnictwa. Dwaj kolejni dowódcy też wybrali karierę lotników, tak że szkolenie plutonu spoczywało na głowie pchor. rez. piech.

Jasia Gica, twardego poznaniaka, z zawodu prawnika. Carriery ! Wspaniałe sprzęt rozpoznawczy, sprzęt nadający się właściwie do wszystkiego. Ponieważ jest o napędzie gąsienicowym nie ma z nim kłopotu w terenie. Przypuszczam, że nawet dzisiaj, kiedy postęp techniczny posunął się daleko naprzód, ten carrier zdałby egzamin, mimo że dzisiaj jest on zabytkiem przeszłości. W plutonie tym, jak z biczem strzelił, przesiedziałem 13 miesięcy /maj 1942 - czerwiec 1943/. Było mi tam nie najgorzej, ale jako ułan nie mogłem się zbudzić co do mojej przyszłości. Z pobytu w 2. Batalionie Strzelców Karpackich utkwiło mi w pamięci odkomenderowanie z całą sekcją do Szkoły Podchorążych na ćwiczenia. Dowódcą Szkoły był kpt. Dębski, etatowy zastępca dowódcy 2. Batalionu. Miałem porządną ubawę, gdyż trzema carrierami musiałem pozorować cały pułk pancerny. Pomyślałem sobie wówczas, że my chyba z tego rodzaju improwizacji nigdy nie wyjdziemy. Po takiej improwizacji nie raz dochodziło do komizmu godnego desek kabaretu. Zresztą sam pomysł był poroniony. Po ćwiczeniach na pustyni Iraku dziwnym zbiegiem okoliczności zawsze jeden z carrierów musiał nawalić i trzeba było wracać do domu oddzielnie. Na to się tylko czekało, bo była okazja do tego, aby pojeździć sobie po pustyni do wiosek arabskich i trochę pohandlować. Zwykle na taką wyprawę kucharz Grzegorz ładował mi 2 - 3 worki ryżu, abym cudownym sposobem przemienił to na kury i indyki. Tu muszę nadmienić, że Anglicy nie żałowali nam ani ryżu, ani prasowanych fig, ani corned beefu, czego mieliśmy po same dziurki w nosie. Był to natomiast doskonały artykuł wymienny z czego korzystaliśmy. Razu jednego widzieliśmy młockę arabską. Młocka ta po

legała na tym, że kilka bydła kręciło się przez cały dzień w kółko, aby wymłócić może sноп pszenicy. Nasi wiejscy chłopcy spojrzeli po sobie i zaproponowali mi zrobić o wiele korzystniejszy kontrakt handlowy z Arabami. W przysłowiowe dwa pacierze z twardego pustynnego drzewa skonstruowali cepy i pokazali Arabom jak to się nimi obrać. Zadowoleni Arabowie zapłacili trzykrotną cenę za nasz ryż, a my przywieźliśmy niesamowitą ilość drobiu, tak że musieliśmy wykopać na zboczu pagórka duży kojec przykryty siatką maskowniczą kariera. W tym kojcu było kilkanaście indyków i duża ilość kur. Po kilku tygodniach, gdy cały ten drób znalazł się w naszych organizmach przyszło ciche pouczenie, aby Arabom nie pokazywać żadnych innowacji technicznych. Była to oczywiście robota angielska. Gdy tak nas pouczano przypomniał mi się wypadek, mający miejsce kilka miesięcy temu w Teheranie, gdy Arab mający zamiar sprzedać kindżał ze srebrną, grawerowaną rękojeścią naszemu żołnierzowi, został zbity po twarzy przez żandarma angielskiego. Oczywiście żandarm ten przy sposobności skonfiskował ten kindżał. Te dwa obrazki z życia wyrobiły w mej świadomości opinię o panach świata Anglikach.

Starąłem się o przeniesienie do 10. Pułku Strzelców Konnych do Wielkiej Brytanii, ale wszelkie podania o przeniesienie grzęzły w koszu kancelarii batalionu. Szczerze martwiłem się faktem, że przyjdzie mi umierać w piechocie co dla przyzwoitego ułana jest dyshonorem. Aż wreszcie skorzystałem z faktu, że rozkazem dowódcy Armii 12. Pułk Ułanów Podolskich został pułkiem rozpoznawczym 3. Dywizji Strzelców Karpackich, a w ramach dywizji o przeniesienie

było łatwiej. Nie obyło się bez tego, aby nie zrobić coś takiego, ażeby nie wstrzymywano odejścia i tak dostałem się z powrotem do kawalerii. Jednak przed samym odkomenderowaniem o mały włos wszystkie moje starania spaliłyby na panewce. Mianowicie, na ostatek dostałem służbę pod oficera służbowego Brygady. Razem ze mną, jako oficer służbowy, był słynny moździerzysta por. Gruszka, z zawodu nauczyciel. W pewnym momencie pokazuje się twarz pika Walentego Peszka, któremu musiałem się zameldować. "Jak, jak pańskie nazwisko?" - Gurbiel - odpowiadam. "A czy major Gurbiel to jest jakiś Paną powinowaty?" - Odpowiedziałem, że to jest kuzyn mego ojca. Wtedy zaczął mi prawić o zaletach tego oficera, jaki to był fantastyczny karabinarz, i że cieszy się z faktu, że znowu ma do czynienia z Gurbielem. - Cieszę się, że Pan znajduje się pod moim dowództwem. Starąłem się za dużo nie mówić, żeby przypadkiem nie wyszło przedwcześnie szydło z worka.

Gdy wróciłem ze służby czekał już na mnie łazik z 12. P.U.P., którym wyjechałem do nowego miejsca postoju. Później dowiedziałem się, że na trzeci dzień płk. Peszek kazał mi się zameldować u siebie. Otrzymawszy odpowiedź, żeby się z tym zwrócił do 12. P.U.P. zrezygnował z przyjemności. Zapomniałem tylko dodać, że by się przenieść musiałem użyć specjalnej techniki, opracowanej wspólnie z Włodkiem Tabaką, który w tym czasie był z-cą d-cy pierwszego szwadronu. Technika ta polegała na tym, abym nie będąc pijanym udał pijanego i w takim "pijanym widzie" komuś porachował zęby. Za długo nie czekałem na okazję, bo chociaż pijany nie byłem zawsze w kasy nie pułkowym wychyliłem strzemiennego, czemu sprzeciwił się Maciek, słynny baran spod Ghazali, który dziwnym tra

fem zawsze musiał poznać nie wylewającego za kołnierz, a czego strasznie nie lubił. Gdy kierowałem kroki do swego namiotu Maciek wziął rozpęd i z tyłu zaatakował mnie. W związku z tym na jego grzbiecie wjechałem do namiotu. Oczywiście wybuchł ogólny śmiech, a kapral "J" /student filozofii U.J./ powiedział : "Tak to kawaleria jeździ na baranach" . Normalnie to wszystko obróciłoby się w żart, ale mnie zaświtała zbawcza myśl, że właśnie nadarzyła się okazja. Dostał więc chłopak po zębach, zatoczył się pod łóżko i awantura na całego. Ówczesny d-ca plutonu por. Gustek Dębiec kazał mi poszkodowanego przeprosić, na co odpowiedziałem nie, a jak mu się nie podoba, to na jego folwarku służyć nie muszę. Usiadłem w kancelarii i napisałem podanie o przeniesienie do 12. Pułku Ułanów Podolskich. Tym razem nie stawiano już żadnych przeszkód. Nim wsiadłem do łazika i wyjechałem przeprosiłem poszkodowanego i zdradziłem mu moją tajemnicę. Mam wrażenie, że nie zostawiłem w jego sercu niepotrzebnej animozji. Piszę o tym dlatego, ażeby przedstawić jaka była proporcja kadry do szeregowych. Otóż w tym wojsku było tyle kadry, że samą kadrą można by obsadzić dziesięciokrotne siły. Szeregowych zaś było jak na lekarstwo. Podchorąży natomiast był takim bydlęciem, którym można było załatać każdą dziurę. Potrzebny był oficer - był podchorąży, podoficer - był podchorąży, szeregowiec - był podchorąży i w związku z tym taki bydlak był pożądaną osobą.

Włodek Tabaka, który przysłał po mnie łazika , przedstawił mnie rtm. Florkowskiemu, u którego się zameldowałem, i który dał mi przydział do 1-go szwadronu. Dowódcą szwadronu był wówczas por. Jerzy Dobrzyniecki, o którego ekscesach wiele słyszałem i dlatego za wszelką

cenę musiałem się u niego zameldować. Trudna to była sprawa skoro pojechał na ryby. Wreszcie wieczorem zastałem go przy namiocie kancelaryjnym. Wówczas podszedłem i zameldowałem się . - Jak długo znajduje się pan w szwadronie ? - zapytał . - Pięć godzin - odpowiedziałem. - Dlaczego ja o tym nic jeszcze nie wiem ? - ciągnął dalej . - Bo pana nie było . - A gdzie byłem ? - Na rybach, panie poruczniku . - A skąd pan wie ? - Podchorąży musi wszystko wiedzieć - odparłem . Widocznie odpowiedzi moje podobały mu się, gdyż podając rękę przywitał się ze mną .

Wkrótce potem, ni stąd ni zowąd, szwadron znalazł się na kilkudniowych ćwiczeniach na pustyni, pod dowództwem por. Tabaki . Ja na tych ćwiczeniach pełniłem funkcję dowódcy plutonu osłaniającego odwrót Brygady. Moją pracę obserwował gen. Przewłocki, który w pewnym momencie przerwał ćwiczenia i będąc w towarzystwie rtm. Florowskiego zaczął zadawać mi szereg fachowych pytań. Ponieważ znałem z opowiadań jego wymagania odpowiadałem głośno i wyraźnie, co, jak zauważyłem po minie rtm. Florowskiego, podobało się Generałowi. W końcu Generał zapytał mnie dlaczego podchorąży ma niewyczyszczoną prążkę. Na bezczelnego odpowiedziałem, że zabrudziłem ją specjalnie, żeby nieprzyjaciel nie zauważył w niej odblasku słońca. Jak się okazało, odpowiedź ta była strzałem w dziesiątkę, który przypieczętował moją nominację przy najbliższej okazji, tj. w marcu 1944 r. W sierpniu 1944. w szpitalu, tenże Generał dekorował mnie Krzyżem Walecznych . Po powrocie z tych ćwiczeń do garnizonu nastąpiły błyskawiczne przygotowania i niemal natychmiastowy od-

jazd do Libanu na ćwiczenia wysokogórskie do obozu angielskiego wraz z Pierwszą Brygadą Karpacką. Tutaj, mimo ciężkiej pracy, odpocząłem duchowo, gdyż po przeszło trzech latach znalazł się wreszcie człowiek w cywilizowanym kraju.¹ Nastąpiły pewne zmiany. Przyjechał nowy dowódca szwadronu por. Miecio Sander oraz dowiedzieliśmy się o zmianie na szczepku dowódcy pułku. Odszedł rtm. Klimkowski a przyszedł mjr dypl. Leon Bittner - oficer sztabu 3. D.S.K. i oficer 1. Pułku Szwoleżerów im. J. Piłsudskiego

¹ W kwietniu 1943 r. świat zaszokowała wiadomość, przekazana przez Niemców, o odkryciu masowych grobów w lasach katyńskich. W grobach tych leżały zwłoki oficerów polskich, więzionych uprzednio w obozach w Starobielsku, Ostaszkowie i Kozielsku. Ekspertyza wykazała, że mord tych ludzi był dokonywany aż do wiosny 1940 roku. Sposób zaś był prosty: strzał z rewolweru w tył głowy. Równocześnie ręce tych ludzi krępowane były z tyłu kolczastym drutem, a usta wypychane trocinami lub piaskiem aby ofiary nie mogły wydać żadnego głosu. Znalezione tam około 4500 zwłok z 11000 brakujących oficerów polskich, o których się upominano, a o których losach władze sowieckie "nie umiały" dać odpowiedzi. Był to bezpośredni powód do zerwania stosunków dyplomatycznych Stalina i jego kliki z rządem Rzeczypospolitej rezydującym w Londynie.

Spośród tych ofiar zidentyfikowano zwłoki 25 oficerów z 12. P.U.P., w tym samego dowódcę ppłk. Kuczka, który dostał się do niewoli sowieckiej pod Tomaszowem Lubelskim. Wśród tych zwłok znalazł też swoje miejsce st.kap. wojsk polskich w stopniu majora ks.kap. Ziółkowski, który własnym przykładem, ofiarnością i kapłańskim oddaniem podtrzymywał na duchu swoich współtowarzyszy niedoli w Kozielsku.

W Kozielsku też przebywał mój kolega, z którym zdałem maturę, pchor. piechoty Władzio Furtek, który wsławił się tym, że był jedynym człowiekiem posiadającym zdjęcie obozu w Kozielsku. Dziewięciu jego kolegów nie doczekało się już wolności. Doczekali się raczej wolności ducha a ich szczątki doczesne pochowane zostały w Katyniu i w innych miejscach kaźni sowieckich. Władzia spotkałem w roku 1944 w szpitalu Nr 4 w Ormskirk. Dodać muszę jeszcze to, że żaden z katów N.K.W.D. nie skończył własną, normalną śmiercią. Przeważnie w szpitalach dla wariatów, względnie w innych nie wyjaśnionych okolicznościach. W każdym razie żaden z nich nie żyje.

go, który też przyjechał do Libanu zobaczyć swój pierwszy szwadron.

Pobył w Libanie trwał pełne cztery tygodnie. Musiałem tam podciągnąć kierowców, gdyż ich umiejętności, jak na wojnę, były za małe. I nic dziwnego, skoro jeszcze parę miesięcy temu stawiali swoje pierwsze kroki w tej dziedzinie. Z pojazdami gąsienicowymi było wiele problemów. W niektórych przypadkach sam musiałem przeprowadzać kariery, których miałem siedem.

Po tych ćwiczeniach wypadki zaczęły szybko następować po sobie. Wielkie manewry "Viryle", załadowanie na statki w Port Saidzie, lądowanie w Taranto, Święta Bożego Narodzenia, oczekiwanie na sprzęt, objęcie stanowisk na drugorzędnym odcinku frontu i pilnowanie "ziemi niczyjej" w Pescopennataro, nad rzeką Sangro, nominacja na "przedporucznika rezerwy kawalerii, walczącego o wolny dostęp do mórz", łożenie na kilkudniowe patrole i w końcu elektryzujący rozkaz zajęcia stanowisk pod Monte Cassino, gdzie mieliśmy grać "pierwsze skrzypce".

Z tego okresu wspomnieć należy o pierwszym patrolu na "ziemi niczyjej", który omal że nie wyludnił szwadronu. Ja nie miałem brać udziału w tym patrolu ale Miccio Sander zdecydował wysłać mnie ze specjalnym zadaniem pilnowania ppor. Pyclika, słynnego patrolowca z Tobruku, aby mu włos nie spadł z głowy. Było tego wojska o wiele za dużo. Patrolem dowodził por. Szkudlarek. Na wyposażeniu patrolu były sanki, narty, śniegołazy... W praktyce sprzęt ten okazał się mało przydatny, gdyż wszystkie szki pokrzyżowała odwilż. Żołnierze musieli ciągnąć całe wyposażenie za sobą, co bardzo utrudniało im życie.

Przed wyruszeniem patrolu przyszedł z dostawą plut. Kazio Zarzecki, który dosłownie wprosił się na wyprawę. I poszedł. Wprosił się na śmierć. Wykonywał on na niej najgorsze prace zwierzęcia pociągowego i patrzył na mnie krzywym okiem, że ja, tak beztrosko, kręcę się w pobliżu Jasia Pyclika. Jaką rolę pełnił, tego Kazio nie wiedział. Nie wiedział również sam Jasio. I nie wiem, czy wie on dzisiaj dzisiejszego po co wówczas tam byłem.

Dobiliśmy wreszcie do brzegu Sangro, która w danym miejscu była płytka, ale niebezpieczna. Słyszałem jak Jasio podpowiadał por. Szkudlarkowi, że należałoby dokładnie zbadać dno rzeki, ale rezultat był taki, że wkrótce po tym, Kazio Zarzecki przekraczając nierozpoznane dno rzeki stanął na pułapkę i wyleciał jak z procy w powietrze. Zmarł na miejscu, a nie jak wyczytałem w "Ułanach Podolskich" dopiero w szpitalu. Kazio wrócił do bazy na tych samych sankach, które tak dzielnie ciągnął jeszcze 36 godzin wcześniej. Przy sposobności oberwało się też por. Szkudlarkowi, który też został ranny od tej samej miny. Taki był rezultat tej wyprawy, której celem było złapanie jeńca.

Następna wyprawa odbyła się pod dowództwem samego Jasia Pyclika, ale jakże inny był jej przebieg. Jasio ograniczył wyprawę, zdaje się, do 11 ludzi. Też byłem na tej wyprawie i też z tym samym zadaniem. Ponieważ było nas niewielu podeszliśmy nie zauważeni niemal pod samą placówkę niemiecką Gamberale i zaczailiśmy się na ewentualny patrol niemiecki. Szczęście nam sprzyjało i po trzygodzinnym czatowaniu, Niemcy rzeczywiście zeszli w naszym kierunku. Noc była ciemna i tylko dzięki doskonałemu słu-

chowi jednego kaprała /nazwiska nie pamiętam/, zresztą z zawodu trębacza w orkiestrze jakiegoś pułku piechoty, i celnemu strzałowi jego Thompsona upolowaliśmy jednego Niemca. Po ustrzeleniu tegoż Niemca, Jasio natychmiast zarządził odwrót, gdyż dalszy pobyt w tym rejonie groził niebezpieczeństwem. Papiery i dokumenty zabitego Niemca zabraliśmy ze sobą jako corpus delicti.

W kilka dni później sam poszedłem na patrol ale tylko z czterema ułanami. Po trzech dniach wędrowania, nie napotkawszy ani śladu patrolujących Niemców, wróciłem do bazy. Trzeba przyznać, że Niemcy, w tym czasie, nie za bardzo już wychylali się ze swoich stanowisk. W drodze do domu, dowiedziałem się o mej nominacji na "zawodowego przedporucznika rezerwy kawalerii, walczącego o wolny dostęp do mórz". Taki był pełny mój tytuł. Ułani przywitani mnie entuzjastycznie, a w czasie mojej nieobecności ściągnęli z munduru naszywki jego kaprałskiej mości podchorążego, znaleźli jakieś gwiazdki i przypięli je do nasramienników. Ale na tym nie koniec. St. ułan Wadas, z zawodu cukiernik, zrobił fantastyczny tort czekoladowy.

Wszystko ma jednak swój koniec. Tak samo szybko minął nasz pobyt w Pescopennataro i zdawszy odcinek Anglikom odeszliśmy w pobliże Agnone, gdzie zdążyliśmy jeszcze spędzić Święta Wielkanocne. W czasie świąt nie żałowaliśmy sobie i po raz ostatni w życiu tańczyłem mazura, skoczną polkę i oberka z małą dziesięcioletnią dziewczynką. Widocznie przeczuwałem, że już nigdy nie będę mógł tańczyć z taką werwą.

Nadszedł wreszcie maj, a z nim, zamiast celebrować Konstytucję Majową, w tym samym dniu, bo trzeciego w no-

cy, luzowaliśmy 2. Batalion Strzelców Karpackich, którego stanowiska defensywne objął nasz pułk, a sam Batalion przewidziany do natarcia na wzgórze 593, przeszedł na razie do odwodu. Jednak pod rozkazami dowódcy pułku pozostała 4 kompania 2 batalionu, ze względu na niemożliwość jej ewakuacji bez wiedzy nieprzyjaciela, który miał wgląd w każdą niemal naszą szczelinę. Kompania ta usadowiona była naprzeciw wzgórza 445 i była najbliższą stanowisk niemieckich. Ja, w tej wojnie, dowodziłem czterema cekaemami, ulokowanymi na wzgórzu "Milk". Były to karabiny milczące, które 2. batalion otrzymał od Anglików, a ja otrzymałem je od plutonu rozpoznawczego 2. batalionu, tzn. zmieniałem pluton, w którym przesłużyłem 13 miesięcy. Z przyjemnością przywitałem się z chłopcami, a szczególnie z plut. Magą, moim pierwszym instruktorem po przybyciu z Rosji. Niełatwo było dowodzić tymi czterema obskutami, skoro jedno stanowisko od drugiego było oddalone od 30 - 50 m. Codziennie trzeba było być przy każdym stanowisku dla dodania otuchy chłopcom, którzy nie mogli się ruszyć, gdyż zaraz padała nawała albo artyleryjska albo moździerzy. Stanowiska te były otoczone murkami, tzw. składakami. Nie wolno było ani ich poprawiać ani budować nowych. Zwykle, w czasie mej inspekcji, zmuszony byłem posiedzieć sobie od 2 - 4 godzin przy każdym. Nieraz też i spałem tam przez ten czas nie zważając na niemieckie nawały ogniowe. Na nieszczęście, na prawo ode mnie, rozciągnął swe stanowiska pluton ppor. Capa, z batalionu c.k.m., który później tam przybywszy strwożony był rykoszetami padającymi na jego stanowiska i myśląc, że jest to kontrofensywa niemiecka nie dawał mi chwili spokoju,

pytając się mnie czy nie widzę dywersantów. I tak przetrwałem tam do 13 maja, tj. do chwili załamania się naszego pierwszego natarcia. Dnia 12 maja straciłem dzielnego podoficera łączności kpr. Jakimiaka Henryka, który chcąc nawiązać przerwana łączność stracił życie na posterunku, dosłownie parę metrów od schronu. Poza tym jeden ułan był ranny. Wiadomości z natarcia 1. Brygady były nie wesołe. Kpt. Radwański nacierał swą 4. kompanią 3. batalionu na 593, ale bezskutecznie. Po nim nacierał mjr Rawicz-Rojek, którego ściągnięto z eszelonu B na dowódcę natarcia 2. batalionu, ponieważ mjr Dębski, który jako zastępca dowódcy batalionu powinien był dowodzić natarciem - nie był dysponowany. Mjr Rawicz-Rojek poległ, a batalion został dosłownie wybity. Żał było patrzeć na ppłk. Brzóske, dowódcę tegoż batalionu, jak usiadł na kamieniu i płakał z rozpaczy nad wybitym swoim batalionem. Śmierć mjra Rojka w/g relacji ppor. Romanowskiego, jedyne go oficera, który uratował swe życie, miała wyglądać w ten sposób, że stracił on nogę, kazał się podciągnąć pod jakąś szkarpę, przywołał młodego plutonowego, swego siostrzeńca, który wchodził w skład jego pocztu, dał mu pewne dyspozycje rodzinne i kazał dalej iść naprzód. Podobno popełnił samobójstwo, o czym się nie mówiło. Dzień przed śmiercią tego oficera spotkałem go w domku doktora, gdzie było dowództwo 12. P.U.P. i 2. batalionu, i jako swemu byłemu dowódcy zameldowałem o swej nominacji, z czego się bardzo ucieszył. Bardzo poważałem tego człowieka i lubiałem. W Polsce zostawił młodą, piękną żonę, z której fotografią nigdy się nie rozstawał.

Zdaje mi się, że było to 10 maja, kiedy w pewnym momencie złapał mnie pchor. Kuba Lieberman i ciesząc się z moich ugwiazdkowanych naramienników, głosem pewnej beznadziei, powiedział : - Kazik, tak mi się widzi, że ja tej wojny nie przeżyję. - Musisz przeżyć ! - powiedziałem - chociażby dlatego, że jako Żyda św. Piotr nie przyjmie cię do nieba. - Nie martw się o to. My, Żydzi, zawsze mamy swoje sposoby. Np. teraz : mam w chlebaku dwie talie kart. Pokażę je św. Piotrowi i powiem, że tymi oto kartami grałem z wami w bridża. I mówił prawdę, gdyż niejedną noc zarwałem z nim razem grając po rozmaitych kasynach. Podchorąży też musiał z czegoś żyć. Następnego dnia biedak został zabity.

Dnia 13 maja załamało się nasze natarcie, ale nawała ogniowa ani na chwilę nie ustawała i ludzie cały czas umierali.

17 maja powtórzono natarcie, a 18-go, o godzinie 07.00 zdobyte zostało 593 i nagle coś nie tak jak zwykle działo się u naszych przeciwników. Wtedy przyszedł do mnie goniec dowódcy szwadronu i powiedział, że mam się u niego zameldować. Było stosunkowo cicho. Założywszy furazerkę poszedłem do Miccia i zameldowałem mu się. Na to Miccio pokazał mi wojsko 13 ułanów, wraz z monturem patrolu wchm. Antkiem Wróblewskim i kazał mi prowadzić je na klasztor, by sprawdzić co się tam dzieje.

- Podobno Niemców tam już nie ma, ale ty Kaziu za bardzo temu nie wierz, bo mogą cię spotkać nie-miłe niespodzianki.

- Dobrze, a kiedy wykonanie ? - spytałem.

- W tej chwili - padła odpowiedź.

Zapomniałem, że nic jeszcze nie jadłem, że nie mam

na głowie żelaznego kapelusza, a jako broń tylko rewolwer wiszący przy pasie - poprowadziłem towarzystwo na przód. Musiałem przechodzić obok stanowisk 4. kompanii wiernej towarzyszki boju, pod dowództwem kpt. Borzdziłowskiego, którego znałem osobiście, a który wyszedł mi naprzeciw, przywitał się ze mną i zaproponował mi dodanie plutonu pod dtwem ppor. Kazia Kądziołki, na co chętnie się zgodziłem, gdyż nie wiedziałem, że za mną maszeruje por. Hrynkiewicz z 18 ułanami. Po przemaszerowaniu kilkudziesięciu metrów stanąłem. Uzgodniłem z Kaziem, by do klasztoru wkroczyć z dwóch stron. Jego skierowałem dalszą drogą, bardziej na zachód, a sam stanąłem bardzo szybko pod murami klasztoru. Obawiałem się, że może się znaleźć jakiś fanatyk hitlerowski i spalić nas wszystkich miotaczem ognia, bo skoro bez strzału doszedłem do tego miejsca, to napewno obrona już nie istnieje. Obawiając się, że taki opętaniec może zniszczyć nas wszystkich chciałem zostawić niby to ubezpieczenie patrolu wchm. Wróblewskiego, aby był ewentualny świadek naszego pogrzebu. Wówczas to stary podoficer, a zarazem przyjaciel, absolutnie na to się nie zgodził mówiąc : "Idziemy razem, gdzie ty, tam i ja" . Wobec powyższego zostawiłem pchor. Pietruskiego, a sami podeszliśmy pod mury i wleźliśmy na mur jeden po drugim, wspinając się po własnych barkach,

Który z ułanów znalazł się tam pierwszy tego nie mogłem wówczas stwierdzić. Dopiero w roku 1985, gdy we wrześniu odwiedził mnie stary przyjaciel Antoś Wróblewski, dowiedziałem się od niego, że był to st.uł.Szczepulski. Przyznać się muszę, że nawet nie znałem dobrze

składu mego patrolu, gdyż nie ja byłem jego monterem tylko Antek Wróblewski, a ja przyszedłem w ostatniej chwili, aby dowodzić. Po bitwie nie za długo zabawiłem już w tym wojsku, gdyż 7 lipca 1944 zostałem ranny i nie miałem z kim tych szczegółów skonsultować. Ten zaś czas mego pobytu nie był dogodny na tego rodzaju rozmowy, bo ręce, nogi, czasami głowa były pełne wytężonej pracy. Stąd napewno wyszły pewne nieścisłości, o które później miał pretensje pan Szczepulski. Po konsultacji z Antkiem napewno te niedokładności się nie powtórzą. A zresztą czy ta praca wyjdzie kiedykolwiek? Może za jakie kilkadziesiąt lat, a może nigdy.

Kazia Kądziołki nigdy więcej nie widziałem w życiu. Prawdopodobnie napotkał na swej drodze pole minowe z którymi zapoznał się jeszcze w Tobruku i nie chcąc narażać się na niepotrzebne straty - zrezygnował z dalszego marszu. Wprawdzie moja droga też wiodła przez pole minowe, ale o tym nie wiedziałem. Zresztą po takim ogniu artylerii nie sędzę, aby pozostała jakaś żywa mina. O Kaziu wiem tylko, że w dalszej akcji dostał się do niewoli, z której razem z mjr Radwańskim uciekł do Polski.

Przy końcu czerwca 1987 r., pod mój dom w Przemyśle podjechał białym polonezem nieznany mi człowiek, który wysiadłszy z samochodu przystąpił do mnie i zapytał czy nie miałbym nic przeciwko temu, aby przywiózł mi dwóch panów, emigrantów z Australii, jednego oficera i jednego podoficera, obydwaj z 3. D.S.K. Ponieważ był to wieczór, a w takim wypadku wiedziałem, że rozmowa nie będzie końca, zaaranżowałem spotkanie następnego

dnia rano u mnie w domu. Nazajutrz zapowiedziani goście przyjechali, a ja wychodząc im naprzeciw i chroniąc przed moim kundlem, usłyszałem słowa pierwszego z nich: "Kądziołka jestem" . - A czy przypadkiem nie Kazio ? - zapytałem. "Oczywiście, że Kazio" - usłyszałem. Drugim okazał się szwagier pana X- plut. Czech z batalionu saperów 3. D.S.K. I tak oto miałem przyjemność widzieć się z Kaziem po 43 latach i coś niecoś dowiedzieć się co to była za przyczyna, że nigdy nie spotkaliśmy się. Kazio o mnie wiedział, gdyż jego siostra wysyłała mu wycinki z gazet. Mam zawsze zwyczaj wspominać w swoich relacjach o najbliższym otoczeniu, wśród którego pracowałem co jak widać dało dobre wyniki i dzięki temu mogłem się z Kaziem spotkać i pogadać. Otóż Kazio otrzymał inny rozkaz od kpt. Borzdziłowskiego, o czym nie miałem pojęcia. Mianowicie miał zbadać co się znajduje za obecną drogą na cmentarz, której wówczas nie było i korzystając z mej obecności wysłał go z tym zadaniem. Po wykonaniu zadania Kazio wrócił do kompanii .

Powróćmy jednak do klasztoru, w którym poddało się 18-tu lekko rannych spadochroniarzy, razem z podchorążym i sanitariuszami. Od nich dowiedziałem się, że 10 minut przed naszym wkroczeniem grupa około 200 żołnierzy niemieckich opuściła klasztor poddając się Anglikom gdyż bali się, słusznego zresztą, odwetu z naszej strony. Pozostałych uspokoiłem mówiąc, że u nas nie ma takiego zwyczaju, i że przeciwnik, który się poddał - przestaje być nieprzyjacielem. Wtedy wystąpił w/w podchorąży i poprosił mnie o pół godziny czasu na przygotowanie się, aby możliwie godnie pomaszerować do niewoli.

Proście jego uczyniłem zadość. Następnie zauważyłem otwór, którego wygląd wskazywał na to, że było to kiedyś zejście do podziemi. Skierowałem się tam i znalazłem się w krypcie św. Benedykta, w której ruinach leżało jeszcze trzech rannych spadochroniarzy. W oczach tych ludzi nic więcej nie widziałem jak tylko strach przed naszą zemstą. I znowu musiałem ich uspokajać na co wzrokiem okazali mi swą wdzięczność. Jednego z nich - Roberta Frettlohra - spotkałem w roku 1985 na lotnisku we Frankfurcie. Został moim przyjacielem, ale fakt ten opiszę na dalszych stronicach niniejszych wspomnień, a my wróćmy jednak do rzeczywistości.

Tych trzech oddałem pod opiekę jednego z sanitariuszy niemieckich, a sam jak najszybciej wyszedłem ze śmierdzącej dziury. W skrzyniach, workach, plecakach pochowane były zwłoki żołnierzy, którzy zmarli z odniesionych ran, a których nie sposób było pochować. Wyszedłem przed klasztor, usiadłem na głazie, który kiedyś był ścianą i zacząłem przemyśliwać nad zmiennością tego świata. A może i nic nie myślałem, gdyż umysł był tak odrętwiały, że może nawet nie był w stanie i myśleć. Patrząc się w dół ujrzałem, że pędzi w moją stronę uł. Bruliński, goniec por. L. Hrynkiewicza, i woła: "Panie porucniku! Jest poruczyk do zawieszenia na gruzach!" - Józiu, jakżeś go przyniósł to go i zatkaj. Nie musiałem powtarzać tego po raz drugi i w ten sposób poruczyk o barwach amarantowo-niebieskiej, z białą żyłką w środku, oznajmił, że bitwa o klasztor Monte Cassino stała się faktem dokonanym. Dla nas Ułanów Podolskich miało to wielkie znaczenie prestiżowe, gdyż Pułk nasz pierwszy stawiał czoła po-

tędy hitlerowskiej dnia 1 września 1939 r. w bitwie pod Mokrą, gdzie zniszczył przeszło 30 czołgów nieprzyjaciela i te same barwy oznajmiły światu o pokonaniu agresorów w jednej z największych bitew świata. Gdy uł Bruliński zatykał proporzycyk, jakby spod ziemi zjawił się przy mnie ppor. Wiktor Domański, reporter wojenny 3. D.S.K.i zaczął zadawać mi szereg pytań, na które nie byłem w stanie odpowiedzieć, gdyż jeszcze żyłem w innym świecie i nerwy nie zdążyły się uspokoić w tej przerażającej ciszy. Po rozmowie, a raczej monologu z por. Domańskim zobaczyłem jak pod górę maszeruje por. Hryniewicz ze swoimi ułanami. Okazało się, że było ich 18-tu. Objął dowództwo nad całością i widząc, że zabawa skończona poprowadził całe towarzystwo w rejon m.p. szwadronu. Zdawało się, że wojna jest skończona. Wcale nie, bo 15. Pułk Ułanów Poznańskich i Karpacki Pułk Ułanów wspólnie z kompanią naszych komandosów pod dowództwem mjr Smrokowskiego, zdobywali jeszcze najgroźniejszy bastion obrony niemieckiej - Monte Cairo, które padło dopiero dnia 25 maja, tj. razem z Piedimonte.

Po powrocie do m.p. szwadronu okazało się, że musimy spędzić noc jeszcze na pozycjach w rejonie m.p. dowództwa Pułku i dopiero następnego dnia mieliśmy się znaleźć w Ailano. Ale po otrzymaniu nagłego rozkazu z Oddziału 3-go Sztabu Korpusu, Pułk miał momentalnie zorganizować szwadron szturmowy celem wysłania go do grupy "BOB", z zadaniem przeczesania terenu. Tyle narazie wiedziałem, a jakie to było "czesanie" to się przekonamy.

Wprawdzie kol. Bohdan Tymieniecki w swojej książce pt. "NA IMIE JEJ BYŁO LILLY" pięknie i dowcipnie, fantastycznym językiem opisał działania 2. Brygady Pancernych, to jednak prawie że całkowicie niemal pominął tę pierwszą bitwę pancerną. A szkoda, bo na tej bitwie ktoś zdobywał dopiero swe umiejętności dowódcze, zdobywał "zasłużone" awanse, krzyże Virtuti. Jest prawda, że na błędach się uczymy, ale jeśli te błędy są przyczyną niepotrzebnych strat życia ludzkiego, tak cennego w naszej rzeczywistości, to nie są ~~to~~ już śmieszki, nie jest to już nauka, to jest po prostu morderstwo. Nie przeczę ani nie neguję brawury i dzielności ppłk. Bobińskiego, ale niechby to robił swoim kosztem, a nie ludzi mu podlegających. Ten człowiek przecież zrobił z Piedimonte zwyczajną jatkę ludzką. W tej oto bitwie dopiero ocenilem właściwie dowodzenie szwadronem przez Miecia Sandera, który wysyłając mnie na jakiegokolwiek zadanie nigdy nie omieszkiał powiedzieć : "Kaziu ! Odpowiadasz gardłem za każdy stracony włoski włos. Nasze zwycięstwo w tej wojnie polega właściwie na ilości zdrowych i całych powracających do Kraju. Jak masz mieć jakieś straty, to lepiej zadania nie wykonać". Na tych kartach składam Ci Mieciu cześć, i mimo że nie ma Ciebie już na świecie, to karty te będą napewno czytane przez Twoje prawnuki. Oddaję ci więc w nich hołd.

Jako dowodzący rzutem administracyjnym, chcąc nie chcąc, musiałem widzieć to co robił dowódca grupy "BOB". Na czym polegał jego błąd ? Mianowicie na tym, że wkraczając do Piedimonte zdawało mu się, że jest ono puste, względnie słabo obsadzone i wystarczy tylko pokazać się, a będzie ono mu przekazane na srebrnej tacy . Wysłał więc

meldunek do Dowództwa Korpusu, że Piedimonte jest wolne. Po przekonaniu się, że tak nie jest ambicja nie pozwoliła mu zaprzeczyć temu i z uporem maniaka, improwizowanymi atakami, próbował je zdobyć niemal z marszu. Ale nie do mnie należy ocena. A jaka była pod Piedimonte moja rola? Jako dowódca rzutu administracyjnego szwadronu obowiązany byłem dbać przede wszystkim o dobrobyt szwadronu, który siedział pod Piedimonte i szachował tym samym siły niemieckie. Miałem dowozić amunicję, żywność a najbardziej wodę, której nigdy nie było za wiele. Tymczasem dowódca obdarzył mnie prezentem - obowiązkiem służenia całemu odcinkowi, co robiłem zdając się że nieźle, skoro po dwóch dniach dał mi bardzo bojowe zadanie. Praktycznie, oprócz kierowców, nie miałem nikogo do pomocy i w związku z tym z każdą dostawą sam musiałem jechać i wszędzie być obecnym. Podobano się to pułkownikowi i mimochodem wypytywał się mnie o sytuację jaka tam była. Aż wreszcie 22 maja przysłał po mnie gońca, abym się u niego zameldował.

Pojechałem do niego carierem, po czym kazałem kierowcy uł. Cioskowi powrócić na swoje m.p. czego jednak nie zrobił, gdyż uparł się czekać na mnie i podjechał pod samotne drzewo na polanie, gdzie zostawił swe życie. A jak to wyglądało? Przed moim przyjazdem na odprawę już był na niej obecny d-ca szwadronu czołgów z 6. Pułku Pancernego kpt. Kuczuk-Pilecki, któremu płk Bobiński przedstawił moją skromną osobę, tj. człowieka który go zaprowadzi i pokaże cele do zniszczenia. Odprawa trwała około godziny, a ja zaintrygowany byłem nawalą moździerzową, która okładała zaparkowany mój

carier z ułanem. Płk. Bobiński dość ostro zwrócił mi uwagę, że nie za bardzo obchodzi mnie sama odprawa. Odpowiedziałem na to, że pod tą nawalą znajduje się mój ułan. Przecież od tej chwili nie jest pan dowódcą plutonu tylko oficerem łącznikowym. Po dziesięciu minutach było już po odprawie, a ja wracając łazikiem z kpt. Kuczuk-Pileckim poprosiłem go, ażeby zboczył z drogi do cariera. Nim dojechał na miejsce ja już byłem przy nim i zawołałem: "Rany Boskie, Bolek zabity!". Na to usłyszałem nad sobą schrypnięty głos kapitana: "Panie poruczniku! Dzisiaj on, jutro ja, pojutrze pan. Taka jest kolejność. Siadamy!". Za dnia do swoich ułanów nie wróciłem, a po drodze dałem znać szefowi st.wchm. Chędyńskiemu, że jadę jako oficer łącznikowy. Jako szósty pojechałem w czołgu Kapitana. Wskazałem coś sześć celi, które momentalnie zostały zniszczone, lecz tych celi przybywało jakby więcej i więcej. Zaproponowałem więc skontaktowanie się Kapitana z dowódcą szwadronu, który napewno będzie miał ich więcej. Rze - czywiście, kpt. wyskoczył z czołgu, aby podejść do wejścia do schronu d-cy szwadronu por. Dziewickiego. Widząc jak Kapitan porusza się po terenie krzyknąłem: "Padnij!". Na wejście do schronu zawsze był nastawiony niemiecki strzelec wyborowy i gdy ktokolwiek pokazał się w nim padała momentalnie seria dająca znać o tym, że mają nas ciągle na muszce. Żeby bezkarnie dostać się do schronu wymagana była specjalna technika skoku. W tym momencie moja rola oficera łącznikowego była skończona. Skoczyłem więc do schronu, poczekałem do

wieczora na swoje cariery z zaopatrzeniem i wróciłem następnie do swego m.p. Na drugi dzień, a było to 23 maja, nie mając akurat co robić, nastawiłem swoje radio, aby posłuchać co się dzieje na linii. W pewnym momencie usłyszałem komunikat, że "dowódca raków spi", co oznaczało, że kpt. Kuczuk-Pilecki nie żyje. Pomyślałem sobie: "Dzisiaj on, jutro ja, pojutrze pan". Przypomnieć się muszę, że tego samego dnia nie bałem się, bo na mnie czas miał przyjść dopiero jutro, a dzisiaj jest tylko dzisiaj. 24 maja przypadał dzień moich urodzin, w którym to dniu według przepowiedni Kapitana sam miałem umrzeć. Kończyłem wtedy 26 lat i prawdę mówiąc chciało się żyć, a tu trzeba pochylić głowę przed śmiercią. Dzień ten będę pamiętał chyba do ostatniej chwili mego życia. Był to bowiem dzień, kiedy najbardziej w życiu się bałem i kiedy przed oczyma ciągle mi stał Kapitan ze słowami: "Dzisiaj on, jutro ja, pojutrze pan". I gdyby nie to, że miałem bardzo silny organizm, to napewno portki moje byłyby pełne złota.

Kpt. Kuczuk-Pilecki, jeden z najdzielniejszych ludzi 2. Korpusu, przed wojną był dowódcą kompanii zamkowej w Warszawie, przedzierał się przez X granic, aż wreszcie wylądował w 2. Korpusie, do którego przybył z Anglii, ale już jako oficer broni pancernej. Był on niedoszłym dowódcą Pułku, jak powiadali koledzy pancerniacy, pozostawił w Polsce ponoć piękną żonę. W roku 1946, gdy znalazłem się w ośrodku zapasowym oficerów w Inverary, w Szkocji, obiko mi się o uszy nazwisko: por. Kuczuk. Zaintrygowany tym podszedłem do tego kolegi i zapytałem go czy przypadkiem kpt. Kuczuk-Pilecki

to nie jest jakiś jego krewny. O tak, i to bardzo bliski. To był mój brat. Opowiedziałem mu wtedy w jakich okolicznościach go poznałem i jak to się skończyło.

Wróćmy jednak do dnia 24 maja 1944 r. Mając ciągle w pamięci hiobową przepowiednię kpt. Kuczuka postanowiłem w tym dniu zagrzebać się w jakąś mysią dziurę i nie pokazywać się nikomu na oczy, co zresztą i zrobiłem. Ale i ten wynalazek do niczego nie doprowadził, bo adiutant pułkownika - oficer łączności - i tak mnie znalazł, i wsiadł na mnie z wielkim krzykiem, że nie może mnie znaleźć. Nie zanadto parlamentarnie mu odpowiedziałem, ale u pułkownika musiałem się zameldować. I tutaj też oberwało mi się. Ppłk. Bobiński z miejsca przedstawił mi dwóch oficerów piechoty, ppor. Mazurkiewicza i Schmidta, których wojsko, tj. dwa niepełne plutony z Kompanii Ochrony Sztabu /razem 20 ludzi/ kazał załadować na moje cariery i robić normalne kawaleryjskie rozpoznanie na poł.-zachód miasta. Próbowałem zwrócić uwagę, że jest niemożliwością przebić się carierami, albowiem dobrze zamaskowane pillboxy, uzbrojone w działa ppanc nie dopuszczają do tego. Na to dowódca rzekł: "Nie gadać! Wykonać!". Ale jak? Przede wszystkim sam fakt braku dowódców wozów, radiooperatorów i ludzi obciążonych ze sprzętem od razu skazywał to przedsięwzięcie na niepowodzenie. Poza tym nie było po co rozpoznawać, skoro ja bez wojska już przedtem rozpoznałem rozmieszczenie w tym rejonie przeciwnika. Ale dowódcy tego było za mało i nawet nie pozwolił mi na wyrażenie mojej opinii. Przypomniałem mu, że dziś w nocy szwadron ma być zluzo-

wany i ja razem z nim. Szwadron tak, a jeśli chodzi o pana to się jeszcze okaże. Wobec powyższego, widząc jego autokratyczną postawę rozwiązałem tę sprawę na swój sposób. Ujechawszy jakieś 300 metrów zatrzymałem cały marsz i porozmawiałem z kolegami z piechoty. Powiedziałem : "Widzicie panowie, że wódz prowadzi nas na niechybną śmierć takim działaniem. Uważam, że podwiozę was jeszcze 200-300 metrów, spieszycie się i będziecie robić swoją piechocińską robotę, bo inaczej ani jeden z nas nie ujdzie żywy" . Po drodze, jeden z żołnierzy mej piechoty przyjechał na miejsce, ale bez głowy, którą ściął mu pocisk działa ppanc. Gdyby pocisk ten trafił w carrier, tzn. 40 cm niżej, wówczas nikt jadący w carrierze nie zostałby przy życiu, a z carriera byłyby drzazgi. Ponieważ nie miałem swojej łączności to BOB dał mi swego Stuarta wraz z załogą. Po spieszeniu ppor. Mazurkiewicz sam z dwoma żołnierzami poprowadził patrol. Patrolował niezbyt długo. Usłyszałem tylko trzy krótkie serie i patrol powrócił, ale bez jednego żołnierza. Mazurkiewicz dostał pociskiem w poduszczyk małego palca lewej ręki, drugi żołnierz dostał po hełmie, sam zaś nie był nawet draśnięty, a po trzeciego członka patrolu musiałem wysłać angielski patrol sanitarny, bo własnego nie miałem, wraz z żołnierzem trafionym w hełm. Po chwili, ze schronu wyszedł żołnierz niemiecki i zapytał czy przypadkiem nie wracają do domu. Ponieważ nikt z tego towarzystwa nie umiał po niemiecku Niemiec zawołał Cebulę /prawdopodobnie Polaka w armii niemieckiej/, który wyjaśnił

sytuację i w pięć osób szukano ciała Polaka. Trawa w tym miejscu była bardzo wysoka i trudno go było znaleźć. Był oczywiście zabity. Po drodze trochę pohandlowano. Niemcy dali czekoladę, a nasi im papierosy. Wieczorem te dwa plutony zaległy w terenie, ubezpieczysz się odpowiednio, a ja dołączyłem do szwadronu i powiedziałem Władziowi Dziewickiemu, że BOB nie ma zamiaru mnie wypuścić. - A ty co na to ? - zapytał. Ja muszę być posłuszny rozkazom dowódcy szwadronu. Wobec powyższego jedziemy razem do domu. Ja zadowolony z takiego obrotu rzeczy więcej BOBA nie widziałem. Po odjeździe szwadronu Piedimonte zdobyto dnia 25 maja 1944 r. Straty sięgały 15 czołgów, a jeśli chodzi o zabitych i rannych to najlepiej powie statystyka, do której ja nie mam dostępu.

Gdy wróciłem do Pułku ułani rozbili mi namiot w pięknym paradiesie oliwnym, nad strumieniem, gdzie zamierzałem nerwowo odpocząć. Tymczasem gdzie tam do odpoczynku. System nerwowy po trzytygodniowym pobycie w nienormalnych warunkach, w huku, musi się z powrotem adaptować do rzeczywistości, do spokoju.

Przyszedł do mnie adiutant d-cy Pułku i powiada, że na pojutrze czeka mnie służba. Na to odrzekłem, że ja absolutnie nie jestem zdolny do pełnienia służby i niech mi nie zawraca głowy, bo nic z tego dobrego nie będzie, natomiast może być pewna awantura. Zostawił mnie więc w spokoju, a ja usiłowałem przyjść do siebie. Ta cisza przypominała mi Odessę, tiumnę głośniejszej ciszy, jak nazwał to jeden z naszych starszych kolegów ~~Wł.~~ ~~Wł.~~ ~~Wł.~~, autor książki "Na nieludzkiej ziemi"

i jeden z poszukiwaczy zaginionych oficerów.

Przyszedłem do siebie dopiero po urlopie spędzonym w Neapolu, gdzie byłem tylko 5 dni. Gdy wróciłem do Pułku w całej pełni trwały prace przygotowawcze do akcji pościgowej, co nie wróżyło nic dobrego. Wreszcie nastąpił pościg za Niemcami wzdłuż wybrzeża Adriatyku, którzy zdołali się oderwać sprzed frontu 8. Armii. Pułk skierowany został do patrolowania rzeki Chienti, gdzie przyjaciel mój kpt. Tadeusz Radwański, po przekroczeniu tej rzeki ze swoją 4. kompanią 3. bat. S.K., został odcięty i pozostawiony samemu sobie bez żadnej pomocy ze strony d-cy 1. Brygady. Po wybiciu kompanii przez Niemców, sam ranny, dostał się do niewoli. Fragment ten opisał dokładnie w swojej książce pt. "Karpaczkami nas zwali". Opisuje on jak to d-ca Brygady ppłk. dypl. Matecki dowodzi 3. batalionem, i aby było śmieszniej to nawet i 4. kompanią nie zdając sobie sprawy i nie widząc w jakiej to ona była rozpaczliwej sytuacji. Radzę sięgnąć po tę lekturę i przekonać się, że nie wszystko jest złotem co się świeci. Tadeu już nie żyje, ale słowa rozpaczyny opuszczonego dowódcy kompanii niech będą przestrogą dla przyszłych dowódców wyższych szczebli.

Do Tadeusza jeszcze powrócę, gdy wspomnienia te sięgną roku 1985.

Wreszcie 30 czerwca Pułk sforsował rzekę Chienti i po krótkiej walce szwadrony 1 i 3 zdobyły miejscowość Macerata. Następnego dnia Pułk działał w kierunku na Fillutrano, gdzie jak się później okazało skończył się mój żywot żołnierza liniowego.

Po zdobyciu Maceraty i usadowieniu się w jakiejś małej wiosce miejscowi Włosi przyprowadzili do mnie kobietę, która zażądała, aby ją skontaktować z dowództwem 8. Armii. Zagadnęła do mnie po angielsku na co ja przeprosiłem ją po włosku mówiąc, że nie rozumię. Na to ona wyjaśniła mi swą myśl po włosku. Wtem koło mnie rozpozczęła się nawała ognia niemieckiej artylerii. W związku z tym oglądałem się za miejscem gdzieby się schować. Widząc jednak, że moja Angielka nawet nie mrugnie i stoi spokojnie byłem zmuszony do stania w miejscu udając bohatera. W duchu jednak kłąłem na spotkanie z tą kobietą. Ale mimo wszystko muszę przyznać, że zaimponowała mi swoim opanowaniem. Pomyślałem : angielska, zimna krew. Jak się potoczyły dalsze losy tej kobiety tego nie wiem. W każdym razie była to agentka angielska, która prawdopodobnie już dość miała tej wojny. Nim dotarliśmy do Fillutrano zatrzymaliśmy się w jakiejś małej wiosce. Tutaj z płaczem przybiegła do mnie jakaś włoska kobieta prosząc mnie, abym zainterweniował, gdyż jest w tej chwili ograbiana przez żołnierza włoskiego. Wprowadziła mnie i asystującego mi ułanę do domu i otworzyła drzwi pokoju, w którym w najlepsze gospodarował sobie przy szafie żołnierz Brygady Maiella. Gdy mu zwróciłem uwagę, że to jest pospolity rabunek odpowiedział, że to jest dom faszysty i to mu się należy. Na skinienie okiem mój ułan rozbroił go i obezwładnił. Musiał biedak pozostawić swój ciężko zapracowany łup i zaprowadziłem go do dowódcy jego kompanii. Dowódca usłyszawszy o wyczynach swego podopiecznego zsiniał ze wstydu i wybił go po twarzy tak, że deli -

kwent musiał rachować zęby, a następnie oddał go w ręce włoskiej żandarmerii. Takie to było wojsko z tych Włochów. Gdy leżałem w szpitalu odwiedzający mnie koledzy mówili, że było z nimi więcej kłopotu i lepiej by było, gdyby ich w ogóle nie było.

Następnego dnia, tj. 6 lipca pojechałem wygodną drogą w kierunku na Fillutrano zbadać jak wygląda przeprawa przez most. Wyjechałem samochodami pancernymi dzemsami, z których jeden, plut. Krzesińskiego, został trafiony pociskiem zapalającym. Na całe szczęście załoga bez szwanku wyskoczyła i przydrożnym rowem wróciła. Później szef plutonu wach. Arciszewski miał pretensje, że nie wymontowali z wieży l.k.m. - Daj spokój stary. Dobrze, że cało wyszli - powiedziałem. Prawdę mówiąc cieszyłem się, że nie ma już tego samochodu, bo nie lubiałem pracować na tego rodzaju pojazdach. Ze względu na swoją masę i małą zwrotność musiały się zawsze trzymać drogi, na którą skierowana jest zawsze wszelkiego rodzaju broń. Carrier natomiast, poruszający się na gąsienicach, miał dużą swobodę manewrowania po terenie. Przedwcześnie się cieszyłem, że nie wyślą mnie na patrol samochodowy z powodu braku dwóch dzemsów.

Na drugi dzień raniutko, tj. 7 lipca, patrzę się, a przed plutonem stoi nowiutki dzems, wcześniej zapotrzebowany. Po chwili przychodzi rozkaz ładowania się na wozy i maszerowania znowu na Fillutrano, ale od strony nie południowej tylko zachodniej, na kierunek Capella S. Vincenzo, i ja znowu dwoma dzemsami mam zasuwąć na patrol. Plut. Krzesiński melduje mi, że jego l.k.m. zaczyna się i nie może jechać jako szperacz. Ile w tym mel-

dunku było prawdy to wie tylko on jeden i ten co jest nad nami. Popatrzyłem na niego i pojechałem sam zostawiając go z tyłu. W tym dniu długo się nie nawojowałem, gdyż o godz. 8.00, na drodze do Capella S. Vincenzo, samochód mój dostał, z prawego boku, z pancerfausta. Odłamki przeszły przez pierś kierowcy st. uł. Pawlaka Józefa, przebiły go na wylot i potraktowały mnie po lewej nodze przerywając arterie poniżej kolana oraz po lewej stopie. Jadąc na ten patrol pomyślałem sobie : - Żeby tak się - dzieć na carierze i zjechać w teren. Samochody pancerne nigdy mi się nie podobały. Nimi może manewrować policja w czasie rozruchów przeciw bezbronnej ludności cywilnej a nie robić rozpoznanie przeciwnika dobrze wyszkolonego doświadczonego i uzbrojonego. Trzeci członek załogi - radiooperator kpr. Wroński - został poparzony, wyskoczył bocznymi drzwiami i uciekł do plutonu mylnie informując, że Pawlak i ja zostaliśmy zabici. Wobec takiego meldunku, towarzyszący wóz sanitarny odjechał wraz z nim, a ja musiałem ratować się sam. Również wyszedłem tym samym wyjściem, usiadłem przy lewym, tylnym, kole, egzaminując swoją nogę. Mówiąc między nami, to byłem nastawiony na to, że gdybym miał być kaleką amputowanym to popełniłbym samobójstwo. Ocena mej nogi nie wróżyła mi być kaleką i postanowiłem się ratować. Na jednej nodze skakałem od mendla do mendla pszenicy, przeskoczyłem przydrożny żywopłot i znalazłem się w chłopskim gospodarstwie. Z domu wybiegł szesnastoletni wyrostek, zarzucił sobie mnie na plecy i zaniósł do zabudowań gospodarczych. Kazałem się zanieść na piętro do izby mieszkalnej gdzie ułożono mnie tak, abym miał wgląd na Capel

la S. Vincenzo z jednej strony oraz na podwórko gospodarstwa z drugiej. Obłożyłem się granatami i miałem odbezpieczony rewolwer. Naprzeciw siebie, w kącie, ustawiłem całą rodzinę a dwunastoletniej dziewczynce kazałem sobie usługiwać. Chłopcu, który mnie przyniósł, kazałem iść do plutonu, aby powiadomił moich ludzi, że ja żyję, i żeby mnie stąd zabrali. Chłopiec się wahał, ale groźba, że rozstrzelam całą rodzinę miała swoją wymowę, więc poszedł zatknawszy na długim kiju biały ręcznik. Niemcy przerwali ogień i nasi również. Na wiadomość, że żyję, nie mając właściwego pojazdu, aby mnie ewakuować, por. Hrynkiewicz albo Pyclik kazał załadować staghounda z 1. plutonu usiąść na zewnątrz samochodu i z flagą czerwonego krzyża jechać po mnie. Chłopcy załadowali mnie wraz z włoskim materacem na wierzch i pojechali do punktu opatrunkowego szwadronu. Wtem oczom moim ukazał się śmieszny widok. Carrier bagażowy /gdyż nie miał załogi/, którego kierowcą był Kazio Janiszewski, lwowski murarz, jedzie z całą stertą bagażu w moim kierunku i pokazuje mi portfel. Kazałem zatrzymać wóz, a Kazio wręczył mi ten portfel, a w nim całe 100 funtów, o których nie miałem nawet zielonego pojęcia, że należą do mnie. W tym miejscu muszę zaznaczyć, że na czas mojej ewakuacji wojna przestała istnieć, tzn. że nie padł ani jeden strzał z żadnej ze stron. Może to była pewnego rodzaju rekompensata za to, że nie pozbawiłem życia żadnego jeńca kilka tygodni wcześniej?

Kazio Janiszewski był moim totumfackim i wszelkie małe przyjęcia karciane, odbywające się w mojej kwaterze, spoczywały na jego głowie. Takie imprezy mu-

siały przecież coś kosztować. Kazio przygotowywał ucztę w ten sposób, że wyjeżdżał swoim carierem na pastwisko, ustrzelił kilka gęsi, z których jedna była przeznaczona na mój stół, reszta zaś na stół plutonu. Kombinował tak, aby mnie to nic nie kosztowało, o czym rzecz jasna nic nie wiedziałem.

Tego samego dnia znalazłem się w szpitalu Nr 6 w Porto San Giorgio, gdzie rany moje obejrzał naczelny chirurg 2. Korpusu gen.dr Szarecki. Wyjął z nich przeszło 270 drobnych odłamków i połączył arterie. Jak zwykle w takim wypadku operacja się udała, ale pacjent po trzech dniach sam poprosił o amputację nogi, która szerniała i spuchła jak bania, nie mówiąc już o samym bólu, przy którym ból zęba to szczeniak. Amputował mjr dr Maciejewski.

W roku 1985 przeczytałem w "Ułanach Podolskich" o szczegółach mego zranienia całkiem błędną informację. Mianowicie dnia 6 lipca, pod Fillutrano, miałem najechać carierem na minę. Skąd się wzięła ta pomyłka jest dla mnie zagadką.

Pod troskliwą opieką personelu szpitala Nr 6 byłem aż do 17 lipca, a następnie ewakuowano mnie samolotem do szpitala Nr 1. Na lotnisku w Porto San Giorgio pielęgniarka zaoferowała mi czarną kawę z koniakiem. Skorzystałem z oferty ale bez czarnej kawy. Widocznie realizacja prośby ułana nie sprawiła jej wiele kłopotu. Wypiłem duży haust koniaku.

Do załadowania nas do samolotu jako noszowych użyto żołnierzy jugosłowiańskich spod znaku Tita. Na wi-

dok znienawidzonej czerwonej gwiazdy na furażerkach tychże zaczęliśmy się buntować . Po długiej perswazji ulegliśmy i pozwoliliśmy się w końcu załadować. Prawdopodobnie już więcej Anglicy nie ryzykowali tego rodzaju eksperymentów z Polakami.

W pierwszym szpitalu wojennym położyli mnie na sali oficerskiej, gdzie już przedtem leżał gen. Nikodem Sulik, d-ca 5. Kresowej Dywizji Piechoty oraz w nie do pozazdrosczenia sytuacji mjr Jedziniak, kwaterymistrz 5. K.D.P., kolega pułkowy por. Tyszkiewicz-Łącki, ppor. Nóżka z 6. Pułku Pancernego, który był ranny akurat w rączkę, kpt. Czechowski z 5. K.D.P., por. Hopko z 4. Pułku Pancernego, por. Gerlik z 5. K.D.P., pchr. Adam Hodur z 2. bat. S.K., który był dowódcą plutonu we włoskiej kompanii komandosów i inni.

Już w pierwszej godzinie pobytu w szpitalu zaszedł dość niemiły wypadek ze mną. Otóż po wypiciu na lotnisku w Porto San Giorgio dobrego haustu koniaku pęcherz mój był tak pełny, że wiłem się z bólu w oczekiwaniu na kaczkę. Najpierw powiedziałem o tym pielęgniarce, która obiecała przysłać mi sanitariusza. Gdy nie mogłem się na niego doczekać poprosiłem o to samo salową. Z kolei ona poszła szukać sanitariusza, a ja wiłem się z bólu jeszcze bardziej. Dopiero żona pana Generała widząc, że ze mną jest coś nie w porządku podeszła i zapytała o powód mego niespokojnego zachowania. Powiedziałem jej całą historię, na co ona zapytała dlaczego nie powiedziałem jej nic o tym wcześniej. Następnie poszła do toalety, wymyła naczynie, przyniosła i wyszła, abym nie musiał się krępować. W tym miejs

cu muszę nadmienić, że było to w porze południowej, a pielęgniarki i salowe podawanie kaczki poczytywały sobie widocznie za dyshonor. Natomiast żona dygnitarza wojskowego, sama zresztą profesor matematyki w gimnazjum, uważała sobie za zaszczyt ulżyć w cierpieniu żołnierzowi, który w danej chwili skazany był całkowicie na łaskę personelu medycznego. Była to sala najbardziej poszkodowanych oficerów, tak że żaden z kolegów nie był w stanie przyjść mi z pomocą.

Po trzech tygodniach, gdy nasze organizmy wzmocniły się /za wyjątkiem mjra Jedziniaka/ pozwalaliśmy sobie nawet na kawały. Między innymi Generał ostrzegał nas młodych podporuczników przed ożenkiem, szczególnie przed matematyczkami, gdyż te tak dobrze potrafią wyliczyć kieszeń męża, że o jakichkolwiek zaskórniakach mowy być nie może. Zdaje się, że cechuje to nie tylko profesorki matematyki, lecz wszystkie żony na świecie. Miałem ich dwie i obydwie wiedziały doskonale o każdym nawet grosiku znajdującym się u mnie w kieszeni.

Gdy zacząłem się dobrze czuć zjawił się u mnie Kazio Janiszewski, który pozwolił sobie na tzw. polski urlop, aby mnie odwiedzić. Zwyczajem lwowskiego batia-
ra przeschmuglował do szpitala buteleczkę whisky, bo zdawał sobie sprawę, że w szpitalu z tego rodzaju napojem jest bardzo krucho. Narzekał, że w taki niefortunny sposób odszedłem, i że w ogóle jest mu źle beze mnie. Kazio był starszy ode mnie o całe 16 lat. Był to klasyczny lwowski, miły, batiar - "ta joj". Po tej wizycie poprosiłem sanitariusza, aby pomógł mi przesiąść się na wózek inwalidzki i w przerwie południowej, ja -

dąc od łóżka do łóżka /z wyjątkiem mjra Jedziniaka, który strasznie cierpiał/, nie wykluczając pana Generała, częstowałem biedaków tym szkockim napojem. Po przerwie, jak zwykle, odbywała się wizytacja jednego z dwu chirurgów /płk Sokołowski lub Sołtysika/. Zdziwiony lekarz zaczął się interesować przyczyną tej niezwyklej ciszy panującej na sali. Wystarczyło tylko pochylić się nad pierwszym z brzegu chorym, by znaleźć odpowiedź. Oczywiście śledztwo niczego nie wykazało, a indagowany pan Generał śmiejąc się też niczego nie zdradził. Tak to Kazio Kaziowi i przez Kazia sprawił kawał. Na drugi dzień oczom swoim nie wierzyłem, gdy ujrzałem w drzwiach sali piękną postać siostry Krystyny Markowskiej, którą poznałem swego czasu w roku 1935 w Łukawcu k/ Lubaczowa, jako czternastoletnią dziewczynkę, która w tamtym czasie pozowała raczej na poczwarkę. Następnie widziałem ją we Lwowie we wrześniu 1939 lecz wtedy nie poznałem jej. Dopiero gdy usłyszałem nazwisko to zorientowałem się z kim mam do czynienia. Gdy przechodziła koło mego łóżka powiedziałem: "Dzień dobry, pani Krystyno". Zaciekawiona, kto by to mógł być, zagląda na kartę znajdującą się przy łóżku, sprawnym ruchem podnosi prześcieradło i widzi, że brakuje mi nogi. Siada na łóżku i pyta o szczegóły ze zdobycia Monte Cassino, bo "Orzeł Biały" z miejsca ten fakt ogłosił oraz o szczegóły mego zranienia. I to był ostatni raz jak ją widziałem.

Również z nami leżał włoski pułkownik, którego obsługiwał jego własny ordynans. Póki byłem jeszcze nie zanadto zdrowszy to nie odczuwałem jak przez całą noc Wło-

si urządzali sobie serenady na dworze, ale jak zacząłem przychodzić do siebie to krew mnie zalewała na takie głośnie ich zachowanie. Aż raz zawołałem ordynansa pułkownika, kazałem mu zejść na dół, aby ostrzegł swoich współziomków, że na drugim piętrze leży zwarowany tenente mający cały arsenał ręcznych granatów, które będzie rzucał na nich jak nie będą się cicho sprawowali. Lekarstwo poskutkowało na dwa dni, po których serenady z powrotem wróciły do życia nocnego.

Raz, w czasie inspekcji chorych przez gen. dra Szareckiego, tenże poznał mnie po mojej prawej nodze, której palce częściowo amputował mróz. Pamiętał, że operował mnie, ale nie mógł sobie przypomnieć, by amputował. Wówczas powiedziałem, że to miało miejsce trzy dni potem. Koło mnie leżał kolega pułkowy por.hr. Feliks Tyszkiewicz. Bardzo równy chłop, choć starszy ode mnie o jakieś 20 lat. Nosił w płucu dość duży odłamek, który obrósł w tkankę tłuszczową, tak że mu nie robili nawet operacji, aby go wyjąć. Feliks został później adiutantem gen. Hallera. Kilka miesięcy później odwiedziłem Feliksa w Londynie a ten przedstawił mnie gen. Hallerowi. Dla mnie spotkanie to było tym droższe że w roku 1923, gdy przejeżdżał przez Miechów, wręczałem Mu kwiaty.

Do zdrowia powracałem szybko i po miesięcznym pobycie znowu trzeba było jechać do szpitala Nr 3, zupełnie na południe, aby stamtąd jechać do Anglii do oprotegowania. Tutaj znowu spotkałem wiele znajomych mi ludzi, i z Rosji, i z Polski. Między innymi, jeśli chodzi o świat najpiękniejszej płci na świecie spotka-

łem Kazię Sawczak, Zosię Brończyk /obie z Przemyśla/,
Jadzię Świtalską - szwagierkę mojej kuzynki Maryli F .
Ale co mi z tego skoro wszystkie, o ile nie były mężat-
kami, to i tak miały serca zajęte jakimiś innymi obiek-
tami męskimi. Tak że niepokieszony, pod tym względem ,
pojechałem do Anglii, gdzie tego samego roku 31. 12.
stanąłem na ślubnym kobiercu.

#4 Gdy przyjmowano mnie po raz pierwszy do szpita-
la w Ormskirk k/Liverpoolu/
spotkała mnie zabawna historia . W czasie załatwia-
nia urzędowych formalności komendant szpitala płk dr
Orłowski zapytał : "Zawód pański ?" . Nie wiele myśląc
przybrawszy bardzo poważną minę, odpowiedziałem : "Mi-
łosny" . Na to wszystkie obecne pielęgniarki wybuchnę-
ły szczerym śmiechem, a Pułkownik niezmiernie się obu-
rzył. Jak to zawód miłosny ? - Przecież żadna mnie nie
chciała, jak do której zacząłem się zalecać. Czyż szcze-
ra i prawdziwa odpowiedź może być powodem do niewiary
i oburzenia ? No i w ten sposób rozeszła się fama, że
przyjechał z Włoch taki przedporucznik kawalerii, któ-
rego żadna nie chciała . Było to w szpitalu Nr 4
w Ormskirk, Lancs. Niezbyt długo cieszyłem się wolnoś-
cią kawalerską i 31. 12. 1944 ożeniłem się. Przedtem
jeszcze, gdy byłem piękny i cały, dowiedziałem się od
kolegi, który jako cichociemny skakał na terenie Lwowa
że moja narzeczona jest mężatką, spodziewa się dziecka
i nie mam co tam więcej szukać. Po powrocie z kraju
przekazał mi również wiadomość, że matka moja jest
zdrowa i nadzwyczaj dobrze sobie radzi. Uspokoilem się
więc co do tych najbardziej interesujących mnie istot
i powędrowałem w wir życia żołnierskiego.

Myślałem rozpocząć w Liverpoolu studia na wydziale architektury. Zostałem nawet przyjęty bez egzaminu ale po stwierdzeniu, że część przedmiotów trzeba studiować w języku angielskim - zrezygnowałem. Angielskiego nie znałem ani w ząb. Poza tym nie czułem się na siłach, aby rozpocząć studia nawet w języku polskim. Wtedy też zaczęły się niesnaski małżeńskie, które po 21 latach doprowadziły do rozwodu, a w czasie rozprawy sądowej o mały włos nie doprowadziły do katastrofy o wiele większego kalibru. Do tego jeszcze powrócę, a narazie idźmy chronologicznie trzymając się faktów.

Na wiosnę otrzymałem nową posadę. Miałem stworzyć pododdział gospodarczy przy domach inwalidzkich w Torquay, miejscowości położonej w południowej Anglii, gdzie już przebywali nasi inwalidzi i korzystali z nieco znośniejszego klimatu. Nie mając pojęcia o pracy oficera intendentury podjąłem się tej funkcji, aby nie być kompletnie bezrobotnym, gdyż brak jakiegokolwiek zajęcia może doprowadzić człowieka do depresji.

Po przyjeździe do Torquay stwierdziłem, że tam jest całkiem owszem. Znalazłem sobie przyzwoite mieszkanie w willi bardzo starego inżyniera Cousin'a i rozpocząłem urzędowanie oczekując przyjscia na świat mojej córki. A że będzie córka to wiedziałem napewno, gdyż nigdy nie byłem zainteresowany potomkiem męskim. Zresztą my, ułani, wolimy właśnie tę najpiękniejszą płeć nawet jako potomstwo. Przyszedł wreszcie czas rozwiązania i musiałem odwieźć żonę do Edynburga, do Szpitala im. Paderewskiego. Gdy żona rodziła ja musiałem być w Torquay. Wreszcie 10/9 1945 telefonicznie dano mi znać, że urodziła się moja Gra-

żyna. Wówczas nie przypuszczałem, że to małeństwo będzie kiedyś moją podporą moralną na stare lata. Gdy znalazłem nowe mieszkanie, bo z dzieckiem nie odnajmuje się mieszkania, sprowadziłem obydwie kobiety do domu. Jeszcze przedtem, bo w maju, po zakończeniu wojny, napisałem do Polski dwa listy : do matki do Przemyśla oraz do stryja do Przybysławic z wiadomością, że żyję. Ponieważ matka, w międzyczasie, zmieniła swój adres list mój do niej nie dotarł, natomiast stryj otrzymał i czym prędzej dał znać matce, że żyję. Po otrzymaniu tej wiadomości matka szybko przyjechała do stryja i miała nawet do mnie cichą pretensję, że do niej nie napisałem. Od tej chwili zaczęła krążyć korespondencja dość często. Matka nigdy mi nie pisała abym wrócił, gdyż wiedziała co może mnie czekać pod okupacją sowiecką. Zresztą i bez tego wiedziałem, że za słodko nie jest.

W roku 1946 Szpital kazał mi opuścić Torquay i organizować podobny temu pododdział gospodarczy w Birkenhead k/ Liverpoolu. Co miałem robić ? Zgodziłem się. Ponieważ nie mogłem dostać mieszkania na miejscu zamieszkałem w Ormskirk skąd codziennie dojeżdżałem pociągiem do pracy. Było to nieco męczące i po pewnym czasie w ogóle zrezygnowałem z pracy. I w ten oto sposób znalazłem się w Ośrodku Zapasowym Oficerów w Inverary w Szkocji. W Glasgow znalazłem mieszkanie /jeden pokój/ i sprowadziłem rodzinę. W tym miejscu chciałbym podkreślić podejście Brytyjczyków do tej sprawy. Otóż znalezienie jakiegoś dachu nad głową dla młodego małżeństwa z małym dzieckiem było nie lada wyczynem. Powód - dziecko płacze. O wiele łatwiej sprawa przedstawia się z właścicie-

lami kotów i psów, nawet w wielkiej ilości, gdyż Brytyjczycy są bardzo czuli na niedomagania tych zwierząt. Trudno - co kraj to obyczaj.

Właściwie od tego czasu mieszkałem w Glasgow, a na pierwszego każdego miesiąca przyjeżdżałem do Inverary po gażę. Wówczas siedziałem tam 3 - 4 dni, aby coś zarobić na kartach. Sam w karty nie grałem, gdyż nie byłem w stanie przegrać pieniędzy, które właściwie do mnie nie należały, ale za to w takiej zabawie jak "dziewiąty wał", gdy przy stole grało nieraz i 20 osób, z których niejedna nie mogła sobie poradzić z prawidłami gry, chętnie za 10 % od zarobku bankiera prowadziłem za niego grę. Wychodziłem na tym zupełnie dobrze.

Nie będę się rozpisywać na tych szpaltach o moim życiu prywatnym, gdyż nikogo ono nie obchodzi i mam wrażenie, że byłoby to zbyt nudne. Przeskoczę więc do roku 1983, do października, kiedy to zachodnio-niemiecka telewizja /W.D.R./ nadała program pt. "Zbrodnie wojenne na froncie zachodnim", w którym to programie pan M. Hoflehner oskarżył pierwszych żołnierzy polskich, którzy wkroczyli do klasztoru na Monte Cassino w dniu 18 maja 1944 r. o zbrodnię ludobójstwa. W szczególności Hoflehner posadził żołnierzy z mojego patrolu o zamordowanie 16-tu spadochroniarzy niemieckich, 1 Hindusa oraz 1,2,3 Polaków, którzy rzekomo dostali się do niewoli niemieckiej, a wszyscy mieli być ranni. Według relacji Hoflehnera powyższy mord miał być dokonany przez rozstrzelanie, a następnie poderżnięcie gardeł tymże nieszczęśliwcom. Jednym słowem

ja miałem być tym głównym mordercą.

Ze wszystkich zakątków globu, po którym rozsiani są byli nasi żołnierze napłynęły momentalnie głosy protestu. Jednocześnie ja i żyjący jeszcze członkowie mego patrolu musieli się wypowiedzieć w tej sprawie. Przy końcu roku 1984 nawiązał ze mną kontakt pan Aleksander Tiplt /Bussardstr. 10, UNTERHACHING, R.F.N./, który jako reprezentant interesów polskich kombatan-tów na terenie R.F.N. prowadził szczegółowe śledztwo w tej sprawie. Najciekawszą rzeczą było to, że pan Tiplt sam jest Niemcem, a zajął się tą sprawą na prośbę swego przyjaciela z ławy szkolnej Stacha Nowickiego z Londynu, z którym zdawał maturę w 1939 r. w Sosnowcu. Stach, w czasie ostatniej wojny, służył w Wojsku Pol-skim na Zachodzie, zaś Aleksander był żołnierzem Wehr-machtu, kontuzjowanym na froncie rosyjskim. Swego cza-su, jako historyk, był jednym z doradców w rządzie kan-clerza Willi Brandta do spraw wschodnio-europejskich. Korespondencja z Aleksandrem była niczym innym jak mi-łą "rozmową". On, dokładny jak każdy Niemiec, zajął się tą sprawą serdecznie.

W roku 1985 znalazłszy sponsora, który wystawił mi zaproszenie do Rzymu, 18 maja znalazłem się na Mon-te Cassino. W tym momencie przerwę historię mojej "zbrodni", do której powrócę, a zajmę się nieco miłszą sprawą, jak wycieczka pociągiem do Rzymu i obecnością 18 maja na cmentarzu i w klasztorze M.C. po 41 latach. Otóż jadąc pociągiem nie mogłem jechać najkrótszą dro-gą przez Wiedeń, gdyż Austriakom nie na rękę byli,

a może nawet i są, polscy turyści, choćby tranzytowi, lecz musiałem jechać do Włoch przez Pragę, Budapeszt, Jugosławię. Jechałem sypialnym wagonem razem z młodym dyplomata rosyjskim, specjalistą do spraw młodzieży, który jechał do Budapesztu. Starłem się dużo nie otwierać ust, ale okazało się to niemożliwe i wkrótce nawiązała się rozmowa o aktualnych sprawach, tj. o sprawach polsko-rosyjskich. Przy końcu naszej wspólnej podróży powiedziałem mu grzecznie, że cały kłopot z Polakami polega na tym, że Polaka można pokonać, można go zjeść lecz w żadnym wypadku nie można go strawić. Chłopiec uśmiechnął się i powiedział, że zdaje sobie z tego doskonale sprawę, czego najlepszym wyrazem jest samo powstanie "SOLIDARNOŚCI", o której dobrze wie, że ciągle istnieje.

Zestaw pociągu, który zajechał do Budapesztu był szalenie długi, tak że jego koniec, w którym się znajdowałem, był daleko poza torem. Nie opisuję na tym miejscu "przyjemności" kontaktów z władzami celnymi na granicy polsko-czeskiej, czesko-węgierskiej, węgiersko-jugosłowiańskiej. Nie chodzi mi już o same formalności celne, które nie zawsze ze strony celników były fair lecz o samo budzenie w nocy i niemożność, tak bardzo potrzebnego, wypoczynku. Człowiek traktowany był jak przedmiot co nie należało do zbytnej przyjemności. Pocieszyć się można, że Rosja sowiecka celuje w tym bezkonkurencyjnie. Dlatego nie pragnę ruszać się w tamtym kierunku, choć nieraz chęćka bierze, aby zobaczyć nasz Lwów, Wilno, Stanisławów, Stryj i inne miasta i miasteczka nam zrabowane. Odnoszę wrażenie,

że Sowiety również byłyby bardziej zadowolone, gdyby wszyscy Polacy w ten sam sposób traktowali ich gości.

Nie jestem w stanie nie wspomnieć też o zachowaniu się Węgrów w Budapeszcie. Wiele uprzejmości w swoim życiu doznałem w Anglii, Włoszech, w Ameryce, szczególnie w Waszyngtonie, lecz takiej jakiej doznałem w Budapeszcie, to chyba w całym świecie nie znajdę. Robotnik kolejowy zauważywszy mnie borykającego się z bagażem z daleka dał mi znak, żebym się nie męczył, podbiegł do mnie i z niesłychaną uprzejmością wziął mój bagaż, który zaniósł do daleko stojącego wózka, posadził mnie obok siebie i zawiózł do przechowalni bagażu, gdyż znajdował się tam człowiek, który rozumiał po angielsku i nieco mówił.

Trudno po takim przyjęciu nie zapalać miłością i wdzięcznością do tego narodu. Mało tego. Ten sam robotnik zawiózł mnie później do pociągu i umieścił we właściwym wagonie, abym nie musiał przesiadać się do Rzymu. Na łamach tych wspomnień Wam, bracia Węgrzy, pragnę wyrazić słowa wdzięczności i swą miłość dla Was i pięknego Waszego Kraju. Już niedługo powinny się ziszczyć Wasze i nasze nadzieje na wolność, której tak bardzo pragniemy. Sądzę, że uczucia te nie są tylko moimi. Uczucia te dzieli cały nasz pognębiony naród i oby nigdy nie były one inne, kiedy cieszyć się będziemy wolnością.

W Rzymie, na stacji, oczekiwał mnie mój sponsor, skromny zakonnik z Tyńca - ojciec Grzegorz Frąszczak, którego nastreńczył mi przeor klasztoru Benedyktynów w Tyńcu - ojciec Tomasz Dąbek, siostrzeniec wyżej wymie-

nionego Stacha Nowickiego. Co mogę powiedzieć o tym młodym człowieku ? Nie mógł mi poświęcić sto procent swego czasu, gdyż był wysłany na studia w San Anselmo Collidge, ale tak jakoś się dziwnie składało, że zawsze się pokazał, gdy go potrzebowałem i był dla mnie naprawdę osobą opatrnościową.

Dnia 18 maja wybrałem się na Monte Cassino razem z wycieczką naszej Solidarności. Wkrótce dałem się rozpoznać kierownikowi wycieczki, młodemu księdzu. Będąc w samym klasztorze, na drugim podwórku z pitną wodą, powoli kroki swe skierowałem do balustrady i po 41 latach spojrzałem po raz pierwszy w życiu na drogę mego marszu. Ciemno zrobiło mi się w oczach i gdyby nie dwaj chłopcy solidarnościowcy, to nie ręczę za to czy utrzymałbym się na nogach. Ci chłopcy podtrzymali mnie, a tym samym nie dali mi upaść na posadzkę. Wówczas podszedł do mnie wyżej wymieniony ksiądz i zapytał : - Czy pan przypadkiem nie jest uczestnikiem walk o ten klasztor ? - Tak . - odpowiedziałem , a przedstawiając się mu, tenże powiedział : - Przecież znam pana z "PRZEKROJU" . Wówczas zebrała się grupa kilkunastu osób, którym musiałem wygłosić krótką prelekcję. Nie za wiele powiedziałem, bo i nie mogłem za dużo mówić. Wspomniałem, że ciemno zrobiło mi się w oczach, a to dlatego, że po raz pierwszy w życiu widziałem szaleństwo sprzed 41 lat. Przecież widok na naszą drogę był tak wspaniały, że nie potrzeba było strzelca wyborowego, aby wystrzelać nas jak kaczki , a wtedy było jeszcze gorzej. Jak ja mogłem tak przejść bezkarnie ? Widocznie Pan Bóg czuwa nad człowiekiem ,

bo ten człowiek może być kiedyś potrzebnym jeszcze .

W tym to miejscu poznałem panią Ninę R., która wypowiadała się, czym byliśmy dla kraju w tamtych czasach, jak nasłuchiwało się wiadomości o nas w Warszawie itd.

Następnie kroki swe skierowałem do Bazyliki klasztornej i za wiele jej nie oglądając zszedłem do podziemia, do krypty św. Benedykta, gdzie pamiętnego dnia leżało w niej trzech ciężko rannych spadochroniarzy. Odprawiana była msza dla młodzieży, a ja podziwiałem zmianę scenerii - kiedyś a dziś. Gdy się znalazłem na cmentarzu odprawiana była msza za poległych, a ja w czasie jej trwania robiłem inspekcję grobów. Nie było czasu na dokładną, ale zacząłem z prawej ku lewej. W pierwszym rzędzie natrafiłem na sekcję żydowską, a w niej na groby dwóch moich przyjaciół : dr Adama Grabera i Kuby Liebermana, o których przed tym była mowa w tejże relacji. Jak żywi stali przede mną, a ja byłem tak wzruszony, że w pewnym momencie zdawało mi się, że prowadzę z nimi konwersację . - Widzisz Kuba, nie możesz zginąć, gdyż św. Piotr nie przyjmie Cię jako Żyda .

Widocznie św. Piotruś nie zwracał uwagi na ten przytyk i przyjął go do swego wojska na wieczną wartę.

Od tej chwili pani Nina wiernie towarzyszyła mi w tej wyprawie, a ja nie wiedziałem wówczas co z tego może się narodzić. Zapewniłem ją jednak, że za rok znowu znajdę się na Monte Cassino, ale ze swoją córą Grażyną. I z tym opuściłem słoneczną Italię, a 20 maja znalazłem się już w Waszyngtonie, w apartamencie Grażyny, na którą musiałem jednak poczekać jeszcze dzień, gdyż

ta nie wiedząc, że przylatuję wyjechała w podróż służbową zleciwszy, w ostatniej chwili po otrzymaniu telegramu, swemu koledze przyjąć mnie na lotnisku. Odkryło się to w sposób dość śmieszno-praktyczny, bo ten stojąc przy wyjściu z lotniska z fotografią w ręku identyfikował wychodzących. Poznał mnie, gdyż trudno, aby tak "znaczący" osobnik mógł ujść jego uwagi .

Tutaj czekał już na mnie list z Londynu od ppłk. Maciejczyka powiadamiający mnie, że zgłosił się jeden z moich rozstrzelanych i podejrzietych jeńców, który chciałby koniecznie widzieć się ze mną, aby mi podziękować za uratowanie mu życia. Trudno opisać moją radość, gdyż od pierwszej chwili kiedy dowiedziałem się o tym wstrętnym paszkwile Hoflehnera odnalezienie jednego z "poszkodowanych" było moim marzeniem.

Gdy wróciła moja Grażyna przedstawiłem jej całą tę sprawę na co zareagowała w ten sposób, że rzuciła mi się na szyję i z radości wyciskała . W tym miejscu wypada mi przedstawić też i moją córę, a to z tego względu, że jako social worker pracuje we firmie "Human Affairs" i tym samym jest szczególnie wyczulona na ludzkie problemy. Tego rodzaju przypadek - spotkania i ewentualnej przyjaźni dwojga ludzi z przeciwnej strony barykady, rzadko spotykany w historii, i że jednym z nich jest właśnie jej ojciec, nie zawsze właściwie rozumiany przez bliskie grono rodzinne - napewno sprawił jej nie tylko przyjemność ale i dał powód do dumy, że jest córką takiego ojca .

Od tego momentu rozpoczęła się korespondencja Londyn - Waszyngton - Unterhaching, a ponieważ upały na

wschodnim wybrzeżu Stanów doprowadziły mój układ krą-
żenia do katastrofalnych rozmiarów, postanowiłem wy-
jechać do Polski jak najszybciej, aby być pochowanym
na przemyskim cmentarzu w jednym grobie z mą matką
i żoną, dwiema kobietami, które tak wielką rolę ode-
grały w moim życiu. Nie bałem się śmierci lecz tego,
że nie na swoim miejscu będę pochowany. Zawsze to
rażniej między swymi.

W związku z moją decyzją, ppłk. Maciejczyk zapro-
ponował mi spotkanie w Londynie na co się nie zgodzi-
łem, gdyż zachodziła obawa, że pobyt tam mógłby się
przedłużyć co w moim przypadku byłoby nie wskazane.

Spotkanie z moim "nieboszczykiem" nastąpiło
dnia 19 sierpnia 1985 r. na lotnisku we Frankfurcie
nad Menem, w czasie przerwy między lotami.

Wychodząc z samolotu musiałem przejść przez
szereg korytarzy, aby na ich końcu zauważyć grupkę
czterech starszych panów, wśród których z daleka mog-
łem rozpoznać siwą bródkę pana Aleksandra Tipltą,
który również trzymał w ręku moje zdjęcie zrobione
przez ojca Tomasza Dąbka w Tyńcu. On to rzekł do swo-
ich towarzyszy: "To jest Gurbiel". Nastąpiło przywi-
tanie i przedstawienie się oraz szybki wymarsz do res-
tauracji, gdzie odbyła się nasza konferencja.

W spotkaniu uczestniczyli: Aleksander Tiplt,
ppłk. St. Maciejczyk, prof. dr Sas-Skowroński, Robert
Frettlohr - późniejszy mój przyjaciel i ja. Nie mie-
liśmy za wiele czasu, bo tylko 2 godziny, w ciągu
których "przeciwnicy" mogli sobie wiele powiedzieć.
Nie pamiętam już co powiedziałem lecz zakończyłem ty-

mi słowy : "Wiesz co Robert ? Gdyby w pamiętnym dniu 18 maja 1944 r. znalazł się choć jeden szaleniec z Waszej strony i zaczął strzelać to wierz mi, że nie wiem co by się wówczas z Wami stało, ale że taka sytuacja nie zaistniała na całe szczęście, to gdybym należał do kategorii zbrodniczych typów i wydał rozkaz strzelania do Was, moi ukłani rozkazu mego nie usłuchaliby" . Po wypowiedzeniu tych słów czułem, że nerwy moje nie wytrzymają, a ja nie mogłem dopuścić do tego, aby okazać swą słabość. Spojrzałem na zegarek i wstałem, aby zakończyć to spotkanie, a tu Robert wręcza mi miły upominek w postaci pięknego kufła na piwo, z wygrawerowanym napisem : "Robert Frettlohr, 15th Comp. 4th Regt. 1 Para Dw. Monte Cassino 18/5/44" . Z drugiej zaś strony : "Leeds Branch, Parachut Regt. Ass." .

I wtedy pomyślałem : "Dzięki Ci, o Panie, żeś pozwolił mnie niegodnemu doczekać tej chwili, że człowiek człowiekowi jest człowiekiem a nie wilkiem. Daj mi doczekać chwili, gdy razem z Robertem będziemy składać wieńce na grobach naszych współtowarzyszy broni, na naszym i niemieckim cmentarzu" i oby nigdy więcej oręż nie rozstrzygał międzynarodowych sporów" .

Zdaje się, że Stwórca wysłuchał mego wołania, bo mimo wielkich przeciwności jakie spotkały Roberta /wypadnięcie dysku/ i trudnej operacji, mimo że dwa razy mój układ krążenia przechodził stan krytyczny, a i dzisiaj nie jest za wesoło, gdyż czeka mnie jeszcze na dniach operacja, wszystko ma się ku temu, że nasze spotkanie dojdzie do skutku 18 maja 1989 r. na Monte Cassino. Wierzę w to spotkanie. Wierzę, że Ten, który

jest nad nami wysłucha naszych modlitw, i mimo że nie odbyło się spotkanie w roku 1986 /niedomagania Roberta to wierzę, że tak się stanie.

Po tym spotkaniu w dwie godziny znalazłem się w Warszawie, gdzie wylądowałem bez paszportu, który zgubiłem wraz z innymi dokumentami w Waszyngtonie. Do kraju wróciłem na zastępczy dokument, wydany mi przez konsulat polski, a który musiałem zdać na granicy w Warszawie. Tutaj rozmowa z młodym chorążym WOP-u, zresztą wcale nie agresywna jak na tego rodzaju wypadek, a raczej miła, w czasie której nie omieszkalem pokazać panu chorążemu swój kufel, jako pierwszemu Polakowi na ojczystej ziemi. Ten, w rewanżu, opowiedział mi o swoim ojcu, również byłym żołnierzu 2. Korpusu i jako ostatni spośród pasażerów stanąłem do odprawy celnej. Czekaając na odprawę postawiłem walizy do kolejki na przegląd, a sam usiadłem na nieczynnej w danej chwili taśmie bagażowej. Pod nogami położyłem niebieską, plastikową torebkę ze swoim pucharem. Gdy przyszła na mnie kolej do przeglądu bagażu zapomniałem zabrać ją ze sobą. Przyjechawszy taksówką do domu kuzynki mej Heleny zawałękałem: - Teraz pokażę ci nagrodę jaką otrzymałem od mojej ofiary! W tym samym momencie zorientowałem się, że pochwaliłem się przedwcześnie. Prezentu, bowiem, nie było. Udałem się więc z powrotem na lotnisko, odnalazłem mego chorążego i opowiedziałem mu w jaki sposób postradałem pamiątkowy puchar. Dla ~~chorążego~~ odnalezienie mojej zguby nie przedstawiało większych trudności, gdyż znajdowała się ona w biurze rzeczy znalezionych i w ten oto sposób utracony puchar po-

wrócił do mnie.

W czerwcu 1985 znalazłem się z powrotem w Przemyslu. W biurze paszportowym, na mój widok, zrobiono wielkie oczy, gdyż przed wyjazdem nie ukrywałem, że zamierzam posiedzieć sobie w Ameryce przynajmniej rok.

Zapomniałem czytelnikowi powiedzieć, że musiałem po powrocie zgłosić się do biura paszportowego, aby oddać paszport i z powrotem otrzymać dowód osobisty, gdyż obywatel nie może w domu przetrzymywać paszportu, bo to nie licowałoby z bezpieczeństwem państwa.

Przez cały rok niemal żyłem nową podróżą do Włoch. Musiałem na nowo rozpocząć starania o paszport o wizę, co połączone było ze stanem w niekończących się ogonkach.

Proszę sobie wyobrazić, że przed każdym biurem paszportowym, na kilka godzin przed jego otwarciem, ustawiają się długie kolejki, a jeszcze dłuższe przed konsulata-mi państw zachodnich po wizy. Są to przyjemności na przypomnienie których wszystkiego może się odechcieć.

Wreszcie, po ciężkich cierpieniach, przebrnąłem przez to wszystko i wyleciałem do Włoch w towarzystwie mej kuzynki Heleny, aby na lotnisku w Rzymie spotkać się ze swoim sponsorem, ojcem Grzegorzem, no i oczywiście ze swoją Grażynką. W ciągu godziny odnaleźliśmy się wszyscy, nawet ze sponsorem Heleny, Włochem Bruno, i tak w pięć osób, dwiema taksówkami, pojechaliśmy do Rzymu, który zwiedzaliśmy kilka dni aż do 18 maja. W dniu tym dołączyłem się do wycieczki Solidarności z Monachium, z którą przybył pan Aleksander Tiplt

wraz z żoną i Stachem Nowickim. Dwuosobowa wycieczka jechała trzema autokarami, a ja, w każdym z nich, obwiązany byłem powiedzieć kilka słów na temat wiekopomnej bitwy. I wszystko byłoby O.K., gdyby nie to, że w czasie, gdy byłem w innym autokarze z prelekcją, Helena stała się przypadkowym adwokatem znienawidzonego reżimu, na który, ze strony wycieczkowiczów, posypały się gromy przekleństw. Nic Helenie nie powiedziałem, lecz nigdy więcej nie zabiorę jej na tego rodzaju imprezę, bo nie rozumię jak można być adwokatem reżimu z łaski Kremla panującego. Chyba zwariowała dziewczyna. Może się już domyśliła, skoro nie dałem żadnej pozytywnej propozycji co do dalszych mych planów.

Ale powróćmy do wydarzeń z 18 maja 1986 r. W tym dniu nie byłem w klasztorze, gdyż wycieczka tak liczna i niesforny element potroiły czas podróży na Monte Cassino. Najważniejszą czynnością dla tych ludzi było poszukiwanie, na każdym postoju, piwa. Mówi to samo za siebie o spaceniu naszej społeczności. Wyjście z tego dna będzie kosztowało niemało wysiłku, a nastąpić to może tylko przy pomocy duchowieństwa. Na reżim w tych poczynaniach nie ma co liczyć, gdyż ten "dla oka" wydaje ustawy antyalkoholowe, a po cichu je obala, gdyż czerpie z monopolu około 40 % dochodu narodowego.

Na cmentarzu Mszę św. za poległych celebrował biskup X, przybyły z Polski, dawny kapelan w 2. Korpusie i wszystko odbywało się jakoś uroczystiej niż roku poprzedniego. Byli również ppłk Maciejczyk, Szadkowski i inni przybyli z Wielkiej Brytanii lecz ich nie widziałem, bo zajęty byłem składaniem wieńca, wizytacją grobów i innymi sprawami. Odnalazłem grób st. uł. Bolesława

Cioska, który tak niepotrzebnie zginął pod Piedimonte. Nad jego grobem pomodliłem się wraz ze swą córą i tak czas uciekał, aż znalazłem się na drodze wysadzonej cyprysami, gdzie zatrzymawszy się wyjaśniłem sytuację jaka panowała tutaj 18 maja 1944 r. Pamiętam tylko wypowiedziane przeze mnie te słowa : "Proszę Państwa, przecież na tej drodze, której zresztą nawet i nie było, kamień na kamieniu nie pozostał" . Poczulem czyjś wzrok na sobie i rozglądając się dokoła zauważyłem, że w odległości może sześciu kroków stoi pani Nina, ze swoim słodkim uśmiechem. Przerwałem relację, przystąpiłem do niej, złąpałem w objęcia, przyprowadziłem do reszty towarzystwa i przedstawiłem ją. Następnie Nina ulotniła się, a ja spotkałem na drodze Aleksandra w towarzystwie jakichś panów. Aleksander wówczas przedstawił mi ich jako moich przeciwników z tamtych dni, spadochroniarzy 4. pułku 1. dywizji spadochronowej. Naprawdę dziwne to było spotkanie. Jakże innym wzrokiem patrzyliśmy na siebie. Wzrokiem starców, którzy zrozumieli, że z zapasów tych ani jedna ani druga strona nie wyszła zwycięsko . Teoretycznie to myśmy zwyciężyli, ale w praktyce okazało się, że przegraliśmy i to na całego. Przecież kraj, mimo zwycięskiej wojny, dalej nie odzyskał suwerenności, a co najsmutniejsze, że próbowano nam wmówić, że powinniśmy się cieszyć ze stanu jaki dzięki Stalinowi mamy w kraju. Trudno. Nie wygrywa się wojny na polu bitwy, tylko przy zielonym stoliku, a przy nim, największy zbrodniarz na świecie, Stalin, okazał się jednak mistrzem. Jego zaś partnerzy Roosvelt i Churchill dziećmi z przedszkola.

Tego samego dnia, 18 maja, po południu, zaplanowa-

na była niedzielna audyencja u Ojca św., w dzień Jego urodzin. Dlatego też wcześniej pojechaliśmy na niemiecki cmentarz ulokowany u podnóża zbocza Monte Cairo i po złożeniu wieńców szybko wróciliśmy do Rzymu, by zdążyć na audyencję. Wizyta u Ojca św. Jana Pawła II przeszła wszelkie moje oczekiwania i cokolwiek o niej bym nie napisał, będzie pachniało niedosytem. Po prostu nie da się opisać jakie ten Człowiek robi wrażenie na pielgrzymach, jak swoją prostotą potrafi ująć sobie ludzi. Powiadomiony przez Helenę o mojej obecności powiedział tylko : "Kombatant walk o Monte Cassino ?" . Na powyższe słowa otaczający go księża adiutanci rozbiegli się po sali szukać mnie. W odnalezieniu mnie pomocną okazała się moja Grażyna i w ten oto sposób miałem zaszczyt i szczęście zbliżyć się do Jana Pawła II oraz uwiecznić się wraz z Ojcem św. na kilku pamiątkowych zdjęciach, które dla mojej córy będą kiedyś powodem do dumy. Stanawszy twarzą w twarz z tym Człowiekiem, ja, który nigdy nie grzeszyłem nieśmiałością, poczułem się nagle nie tylko nieśmiały, ale i maleńki jak najmizerniejszy robaczek i zdołałem wykrztusić zaledwie kilka banalnych słów z życzeniami urodzinowymi. Jako odpowiedź otrzymałem : "Bóg zapłać i wzajemnie życzę długich lat życia, zdrowia, a przede wszystkim błogosławieństwa Bożego" .

Następnego dnia rano pojechałem pożegnać się z monachijską Solidarnością, której powiedziałem o gorzkim chlebie na emigracji jaki ich czeka, chandrze i nostalgii za krajem, a na drogę życzyłem szczęścia i zdrowia. Pożegnałem się z Aleksandrem i Stachem, z którymi zdążyłem się na dobre zaprzyjaźnić, a po południu odprowadziłem Grażynę do pociągu, gdyż musiała jeszcze być

obecna na międzynarodowym sympozjum antyalkoholowym we Frankfurcie. I tak zakończyłem mój piękny, kilkudniowy okres ze swoją córką. Teraz marzę o następnym spotkaniu z nią, w tym samym miejscu i dłuższym nieco pobycie na Monte Cassino, abym mógł dać jej prawdopodobnie ostatnią lekcję poglądową na Górze Śmierci.

Znalazłem się znów w Polsce i cieszę się z tego, bo trudno mi teraz bez niej żyć i chyba na dłużej nigdy z niej nie wyjadę. Przychodzi już jesień życia i liczyć się trzeba z tym, że należy zrobić miejsce następnemu pokoleniu, ale póki co, to chociaż jesień siwizną przyprószyła skronie a i hełm podobno, chociaż niekompetentna ręka fryzjera przyprawiła głowę o łysinę, to nie przeszkadza, aby z przyjemnością wzrok starszego pana nie spoczął na jakiejś spódniczce. Tak się też stało na Monte Cassino 18. 5. 1985, za pierwszym pobytom, gdzie stanęła przy mnie Nina. Nie będę opisywać jej zalet fizycznych, bo nie znam jej na tyle. W każdym razie coś niecoś jest brzydsza od anioła. Prawdopodobnie nie miałoby to żadnego znaczenia gdyby nie fakt że pewnego dnia otrzymałem list z Rzymu, a w nim zdjęcie z panią Niną nad "Doliną Śmierci". Na tym zdjęciu zauważyłem pewne charakterystyczne cechy jej urody, które muszą się podobać przeciętnemu mężczyźnie. Przy tym sam list pisany był językiem tak wspaniałym, że zainteresowałem się tą panią no i, co zwykle w takim wypadku bywa, listy zaczęły swą wędrówkę w obydwie strony, a w każdym z nich odkrywało się coś niezwykłego, mimo że pisane były swobodnie i z prostotą, bez egoistycznych celów. Z czasem listy te zaczęły być coraz

bardziej osobiste, aż w końcu obydwójce złapaliśmy się na wędkę jak ryba. Różnica jest tylko ta, że ryba się broni, nawet złapana, a słaby mężczyzna uległ. I znowu będę w kleszczach dwu kobiet. Tak też i trzeba, bo kobieta - bywa - buduje, choć znam przypadek, że kobieta i rujnuje, lecz dzisiaj, prawdę mówiąc, to nie ma już co rujnować. Co miało być zrujnowane, to zostało dawno.

Pobyty w Przemyśle urozmaicone były licznymi wywiadami z redaktorami gazet, nawet partyjnych, którym jak mogłem tak relacjonowałem swoje curriculum vitae, bo z nim się ściśle łączy moja droga do Monte Cassino. Miałem kilka spotkań z młodzieżą, której nic innego nie mówiłem jak tylko prawdę i dziwię się, że jeszcze wolno chodzić, nie zaczepiany przez władze bezpieczeństwa. Porobiłem wiele znajomości i żyję spotkaniem na Monte Cassino z moim Robertem, z którym mamy złożyć wieńce na polskim i niemieckim cmentarzu. Z Robertem jestem w stałej łączności. Ponieważ mieszka on w Anglii to mamy wspólny język angielski. Wprawdzie mój angielski w piśmie pozostawia wiele do życzenia, ale od tego ma się przyjaciół, którzy zawsze przyjdą człowiekowi z pomocą.

Mając jeszcze wiele czasu do spotkania z Robertem bo ponad półtora roku, tak na marginesie chciałbym wspomnieć coś niecoś o naszych przeciwnikach z drugiej strony barykady. Byli to ludzie najlepsi z najlepszych w armii niemieckiej, kwiat tej armii, o doskonałej kondycji fizycznej, wychowani ideowo w szeregach "Hitlerjugend". Pokonanie tego wojska mówi już samo za siebie. Jednak po wielu latach, napewno długich rozmyślań, wielu

z tych żołnierzy diametralnie zmieniło swoje poglądy na życie i świat. Przykładem tego jest chociażby Robert, który napisał do mnie te słowa : "Otrzymuję co trzy miesiące z Niemiec gazetę "Para" /czasopismo Stowarzyszenia Niemieckich Spadochroniarzy/, gdzie jest Twoje zdjęcie jak składasz wieniec na polskim cmentarzu wojennym. Gdy my się spotkamy znowu na M.C. złożymy wieniec razem i pomyślimy o wszystkich młodych żołnierzach którzy stracili swe życie z nadzieją, że to się nigdy już nie powtórzy. Spotkamy się znowu w maju 1989 i będziemy mieli więcej czasu na wspólne rozmowy" .

Nie mogę w tym miejscu nie wspomnieć również o kilku oficerach 1. dywizji spadochronowej, którzy kategorycznie zaprzeczyli jakoby miała miejsce jakakolwiek rzeź pozostałych rannych żołnierzy niemieckich.

Co o tych ludziach mogę powiedzieć ?

Chyba tylko to, że zachowali się po rycersku, jak na prawdziwych żołnierzach przystało. Przecież i Robert, i oni nie musieli stawać jako świadkowie przeciwko kolumniom Hoflehnera. Wystarczyła tylko bierna postawa pła Teske - prezesa "Para Ass.", a Aleksander i Stach Nowicki, dwaj współautorzy słynnego memorandum w tej sprawie do W.D.R., mieliby nie lada trudności w zdementowaniu tego haniebnego oszczerstwa. Przecież Hitler, jak i jego profesor Stalin, byli tego zdania, że kłamstwo powtórzone miliony razy staje się w końcu prawdą historyczną i kto wie jakby się sprawa potoczyła, gdyby nie ci rycerscy ludzie.

Na tym chyba zakończę swoją relację i powrócę do niej za dwa lata, po spotkaniu na Monte Cassino w roku 1989 . Może jeszcze dożyję tego momentu. W razie mojej

śmierci poprawiony ten brulion może być uważany za zamkniętą całość i w tej wersji wydany.

Walka o Monte Cassino trwa nadal. Jest to walka żmudna, bo walka o ducha naszej młodzieży, którą pa-chołkowie Kremla chcą za wszelką cenę pozyskać. Wierzę jednak, że im się to nie powiedzie.

Kazimierz Gurbiel

/Kazimierz Gurbiel/

Koniec części pierwszej.

